



Diana Palmer



GORĄCA KREW

Tytuł oryginału: Now and Forever

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nad białymi, z lekka spienionymi grzebykami fal niebo mieniło się feerią płomiennych kolorów i tylko krzyk mew zakłócał plusk wody uderzającej o brzeg. Lutecia Peacock zamknęła oczy. Oparta plecami o zimny, nabrzeżny gład, siedziała nieruchomo niczym smukły posąg, chłonąc spokój panujący między lądem a oceanem.

Kawałek dalej z wody na plażę wychodził Frank Tyler. Jego blade ciało lśniło w ostrym, porannym słońcu, a blond włosy zdawały się jeszcze jaśniejsze. Zanim wszedł do wody, usilnie namawiał ją, żeby popływała razem z nim, ale nie chciała. Od zeszłego lata nie cierpiała wody. Dokładnie od dnia, gdy Russell zastał ją w pawilonie plażowym i...

Wzdrygnęła się na to wspomnienie i gwałtownym ruchem głowy odrzuciła na bok długie, czarne, falujące włosy. Podciągnęła pod brodę nogi w dżinsowych kloszach, objęła rękami kolana, a kiedy Frank podszedł bliżej, rzuciła mu ręcznik.

– Dzięki. – Roześmiał się i parszkając, zaczął się wycierać. – Ale się zmęczyłem! A ty dlaczego nie chciałaś pływać?

– W tym? – Wskazała jasnoniebieską koszulkę i dżinsy. W jej szarych, zamyślonych oczach pojawiły się wesołe iskierki. – Gdyby zobaczył mnie jakiś rekin, zdechłby ze śmiechu. Jaka ta woda, zimna?

– Lodowata, ale było wspaniale. – Naciągnął koszulkę i usiadł na piasku obok Lutecii, odgarniając niesforne włosy. – A ty? Dobrze się bawisz?

– Mhm – mruknęła ospale. – To był wspaniały tydzień. Szkoda, że już się kończy.

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Lubię ten twój akcent z Georgii.

– O co ci chodzi? – Nagle zaczęła się bronić.

– Chodzi mi o to, że lubię, jak zaciągasz. Czy powiedziałem coś obraźliwego? – spieszył się.

– Przepraszam. – Pokręciła głową. – Na uczelni wszyscy się ze mnie nabijali, choć nie tylko z powodu akcentu. Ludziom się zdaje, że dziewczyny z farmy to niepiśmienne kmioty, co to cały rok chodzą boso.

Wziął ją za zimną rękę i uścisnął.

– Ja się nie nabijam. Poza tym – dodał z uśmiechem – do twojej rodziny należy jedna z największych farm w całym stanie. Jesteś zbyt wyrobiona, żeby brać cię za kmiota z prowincji, moja droga.

– Dziękuję, sir. – Uśmiechnęła się. – Frank, było wspaniale i żałuję, że muszę wracać do domu. Gdyby Baker tak nie nalegał, to...

– Tylko do Bożego Narodzenia – pocieszał ją. – Poza tym przyjedziemy tam z Belle już za niecałe trzy tygodnie. Bardzo się cieszę, że będziemy sąsiadami.

– Zdażycie z remontem Bright Meadows akurat na sezon. Będziecie mieli wspaniałe miejsce na wakacje, więc postaraj się zanadto ich nie skracać.

Pochylił się i musnął jej usta.

– Nie zawiedziesz się.

Spojrzała na morze, zadowolona z przyjaznego milczenia, które między nimi zapadło. Wróciła wspomnieniem do dni tak wypełnionych

zabawą, że nie tylko opuściła na uczelni cały semestr, ale pod koniec wakacji pojechała z Frankiem, jego matką i siostrą nad morze do Georgii. W czasie tych olśniewających nowojorskich wieczorów Frank był dla niej niezwykle miły, troskliwy, delikatny, w czym zupełnie nie przypominał ciemnookiego potwora z Currie Hall...

Wspomnienia były tak żywe, że nadal czerwieniła się i wciąż czuła ten okropny wstyd pomieszany z zażenowaniem, co zmusiło ją do tego, żeby przez cały rok trzymać się z dala od rozległej, rodzinnej farmy, a potem szukać wykrętów, by uniknąć powrotu do domu na wakacje.

Russell zdawał się nie zauważać jej rzucającej się przecież w oczy nieobecności ani tego, że w nieczęstych listach i telefonach do domu w sposób ostentacyjny w ogóle o nim nie wspominała. Ale jego i tak nic nie ruszało. Obchodziła go tylko ziemia, która była całym jego życiem i pasją. Ziemia, ziemia i jeszcze raz ziemia. Nieraz widywała go, jak stał bez ruchu niczym mroczny bóg z greckich mitów i spoglądał na pola i pagórki swoich włości, jakby patrzył na ukochaną, którą złe moce zmieniły w piaszczystą glinę. Było w tym coś, czego nie pojmowała, ponieważ nienawidziła czarnej, żyznej ziemi, która odebrała jej rodziców.

Pod wpływem wspomnień oczy zaszyły jej łzami. Na dzieci takie jak ona Frank Tyler i jemu podobni nie patrzyli inaczej niż z obrzydzeniem. Brudna, w znoszonej, spłowiałej, bawełnianej sukience, zawsze bosa, z wiecznym kołtunem we włosach mimo usilnych starań schorowanej matki. Wysławiała się tak fatalnie, że nawet Russell unosił brwi. Tego straszego roku, gdy jakiś robotnik rolny przez karygodne niedbalstwo doprowadził do śmierci jej ojca, a przybita stratą męża matka zmarła na zapalenie płuc, Lutecia kończyła osiem lat i była niedouczona i gwałtowna.

Russell Currie wziął wówczas tego wojowniczego obdartusa na swoje wielkie, silne ręce i zaniósł do ogromnego domu, bez trudu radząc sobie z jej wierzgnięciami i przekleństwami. Nakazał Mattie, by przygotowała dla niej pokój, zaś ojcu i macosze dał do zrozumienia, by nie wazyli się kwestionować jego decyzji.

– Ona jest moja – powiedział do Bakera i Mindy z ogniem determinacji w ciemnych, posepnych oczach. – Obiecałem jej matce, gdy leżała na łożu śmierci, że się nią zajmę i na Boga, niech skonam, jeśli nie uczynię z niej damy!

Nie było to łatwe, przyznawała z żalem. Na szczęście Baker i Mindy przyjęli ją z otwartymi ramionami. Nawet mała Eileen przylgnęła do niej niczym rozdokazywane kocię. Z Russellem sprawa była inna. Był surowy i wymagający. Nie znosił, gdy ktoś mu się sprzeciwiał. Przy jego żelaznej konsekwencji jej bunt słabł. Pracował nad nią dzień w dzień, delikatnie, ale zdecydowanie usuwając z jej wspomnień okoliczności śmierci ojca. Kupował ubrania, dawał lekcje i wygładzał nieokrzesany język. I tak, nie zrażając się niczym i bez zbędnego pośpiechu, ukształtował z niej damę w całkiem rozsądnym wydaniu. Kiedy skończyła osiemnaście lat, zaczęła z nim walczyć, żeby pójść na studia, a gdy Baker ją poparł, wściekł się nie na żarty. Jednak ojcu, o dziwo, udało się wpłynąć na upartego syna i Lutecia, co zdarzyło się tylko ten jeden jedyny raz, postawiła na swoim.

W czasie pierwszego roku studiów dom odwiedzała często. Aż do owego pamiętnego dnia zeszłego lata...

Objęła kolana rękami i oparła kształną, ale zdradzającą wyjątkowo uparty charakter brodę na gładkich kloszowych dżinsach. Czyżby Frank miał rację, sugerując niekiedy, że jest snobką? Owszem, nie opowiadała mu

ani o swoim dzieciństwie, ani o tym, jak trafiła do zamożnego Currie Hall, ale to dlatego, że nie znosiła tych wspomnień. Mimo drogich dżinsów i szytej na miarę różowej bawełnianej bluzki, czuła się czasami jak obszarpane, przerażone dziecko, którym była naprawdę. Nie mogła zapomnieć, że kiedyś żyła w biedzie i nie lubiła wszystkiego, co jej o tym przypominało. W szczególności tańca w cztery pary, spraw związanych z rolnictwem, ziemią i Russellem. Zbyt dobrze pamiętała, z jakich dołów wspięła się tak wysoko.

– Nie chcę wracać do domu – mruknęła znad zgiętych kolan.

– Dlaczego więc wtedy, kiedy dzwonił twój przybrany ojciec, nie powiedziałaś mu o tym?

Wzruszyła ramionami.

– Przecież ci mówiłam, że Baker miał miesiąc temu atak serca. Mindy zawiozła go do Miami, ponieważ uznała, że powinien wracać do zdrowia jak najdalej od tych okropnych koni appaloosa. Wolałam go nie denerwować, żeby nie zmarnować wysiłków lekarzy. W każdym razie Baker dobrze wie, jak Russell zajmuje się Eileen, kiedy Mindy nie ma na niego wpływu.

Niestety, nie mogę się wykręcić szkołą, ponieważ zostałam zarejestrowana dopiero od stycznia. Zaskoczył mnie, zanim zdążyłam pomyśleć. –

Westchnęła rozdrażniona. – Dobrze wiem, że to Russ wpadł na ten pomysł.

Frank, śmiejąc się cicho pod nosem, położył się na piasku.

– Za każdym razem, gdy wymawiasz jego imię, robisz się czerwona jak burak. Jaki on jest?

– Russell? – Samo wspomnienie było dla niej przykre. – Trzydzieści kilka lat, uparty, dumny i absolutnie bezwzględny w dążeniu do swoich

celów. Spytaj każdego, kto robił z nim interesy – powiedziała rozgoryczona. – Gdy farmerzy i ranczerzy tracą pieniądze, Russell je robi.

– Jest żonaty?

– Russell? – prychnęła. Pokręcił głową.

– Zaczynam żałować, że przyjąłem zaproszenie Bakera, by w czasie, gdy robotnicy będą kończyć remont Bright Meadows, przemieszkać w waszym domu.

– Nie wygłupiaj się! Jest środek zniw i Wielki Biały Ranczer będzie za bardzo zajęty pracą przy zbiorach i handlem bydłem, by często przebywać w domu. – Przynajmniej mam nadzieję, dodała w myślach. – Poza tym ty i Belle jesteście tam mile widziani. Przyjedziecie?

Popatrzył w jej duże, brązowoszare oczy.

– Naprawdę tego chcesz?

– Co to za pytanie? Oczywiście, że chcę!

Przysunął się bliżej i musnął ustami jej wargi w pieszczocie charakterystycznej dla ich krótkiego związku.

– Wobec tego przyjedziemy.

Spojrzała w stronę odległego domu przy plaży.

– Myślę, że pora się pakować. Na pewno chcesz mnie odwiedzić na lotnisko?

Wstał i podał jej rękę.

– Na pewno to wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała – powiedział, patrząc jej z powagą w oczy.

– To nie fair – zażartowała. – Uzgodniliśmy, że między nami ma być lekko i przyjemnie. Żadnych zbędnych napięć.

– Stale mi o tym przypominasz. W porządku, moja śliczna, idziemy. Czekają na nas ze śniadaniem, a wiesz, że matka tego nie znosi. – Ruszył szybkim krokiem wzdłuż plaży w kierunku domu.

Amen, dopowiedziała w myślach i udała się za nim. Uśmiechnęła się, rozpamiętując jego komplement. Nie, żeby w to wierzyła. Wiedziała, że jej oliwkowa karnacja i czarne, falujące włosy podobają się, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była piękna. Miała mocno zarysowany, szkocko-irlandzki podbródek i wyjątkowo wydatne kości policzkowe. Nos lekko zadarty, ale kształtne, perfekcyjne usta kompensowały ów szelmowski wybryk natury. Jednak to jej figura, pełna i zaokrąglona, oraz nieskazitelnie gładka skóra – myślała bez zarozumiałości – pociągała mężczyzn. Podkreślała swoje walory wydekoltowanymi bluzkami, dopasowanymi spódniczkami i džinsami. Ubierała się z klasą, co ją zdecydowanie wyróżniało spośród rówieśniczek.

Frank poklepał ją ciepło po rękach.

– Mówiłem. – Zaśmiał się, wskazując głową w stronę okazałego domostwa usytuowanego nieopodal plaży.

Na ganku stała Belle Tyler, wypatrując ich zmartwionymi, jasnoniebieskimi oczami. Lekka bryza rozwiewała krótkie blond włosy.

– Dzięki Bogu! – powiedziała cichym, zduszonym głosem. – Matka jest cała w nerwach. Chodzi po domu i psioczy, że od tego ciągłego odgrzewania kawy spali maszynkę. Gdzie byliście?

Frank uśmiechnął się do siostry uspokajająco.

– Szwendaliśmy się po plaży, złopaliśmy piwo i rzucaliśmy w turystów kamieniami – zażartował.

– Czym tak się martwisz?

– Będziemy mieli gościa – odparła, przyglądając z zaciekawieniem Lutecii. – Nic nie wspominałaś, że twój brat jest pilotem.

Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

– Skąd o tym wiesz? – spytała, panicznie bojąc się odpowiedzi.

– Dzwonił przed chwilą, że leci tu po ciebie. Spuściła oczy, żeby ukryć zmieszanie i przestrasz.

– Kiedy?

– Będzie o dziesiątej. Wyląduje na lotnisku w Auguście, a do nas podjedzie samochodem. – Przekrzywiła blond głowę. – Jeśli twój brat wygląda tak samo jak mówi... O rany! Co za głos, niski, spokojny, a jaki sexy!

– Pewnie jest łyсы i gruby. – Frank roześmiał się, widząc na delikatnej twarzy siostry wyraźne zainteresowanie. – Jeszcze jeden sztywniak w średnim wieku do wzięcia.

– To prawda, Lutecio? – dopytywała się Belle.

– Frank! – Angela Tyler przerwała im, wybawiając ją od konieczności odpowiedzi. – Frank, chodźcie wreszcie jeść, zanim bekon całkiem wystygnie!

– Stała w drzwiach niczym smukły, antyczny posąg, wbijając w syna i jego przygnębioną towarzyszkę zimne, niebieskie oczy. – Ty też, moja droga – zwróciła się do Lutecii. Jej wąskie usta drgnęły w uśmiechu, ale oczy pozostały bez wyrazu. – Wchodźcie, proszę. Po tak długim spacerze musicie być głodni.

Belle weszła za nią, a Frank zwolnił, patrząc przeproszająco na Lutecię.

– Jest trochę apodyktyczna, ale kiedy cię lepiej pozna, to złagodnieje.

Na samą tę myśl przeszył ją dreszcz. Angela faktycznie patrzyła na nią z góry, mimo bogactwa Currie, które, jak się zdawało, doprowadziło ją do wysokich progów starszej pani. Wprawdzie ojciec Franka wywodził się z biedoty, ale dzięki uzdolnieniom w kierunku elektroniki i umiejętnościom przewidywania, znalazł się na szczycie społecznej drabiny. Sama Angela zaś zaczynała jako zwykła maszynistka w sekretariacie, co było oczywiście rodzinną tajemnicą, a jej pewność siebie i stoicka godność ucinały wszelkie domysły. Gdyby Lutecia odkryła prawdę o przeszłości starszej pani, ta z pewnością by nie złagodniała, ale wręcz przeciwnie.

Jak lunatyczka szła za Frankiem do jadalni, starając się nie myśleć o tym, jak zareaguje na Russella, kiedy stanie w drzwiach. Minał rok, a miała wrażenie, że jeden dzień. Skubała jedzenie, modląc się, by Frank i jego rodzina niczego z jej twarzy nie wyczytali. Gdyby mogła gdzieś uciec, żeby uniknąć tego spotkania, pomknęłaby jak spłoszona klacz.

Usłyszała dobiegający z oddali grzmot. To był zły znak. Nie minęło wiele czasu, gdy piękny poranek spłynął deszczem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy przestało padać, usiedli na balkonie i obserwowali ciemne chmury sunące nad wzburzonymi falami. Naraz ożywione trajkotanie Belle przerwał warkot silnika.

– To on! – krzyknęła i zerwała się, omal nie wywracając krzesła, a potem jak szalona poleciała do okna w salonie. Szczęk zatraskiwanych drzwi samochodu niemal zlał się z jej pełnym podziwu jękiem. – O matko – westchnęła w ciszy, która zapadła. – Już wiem, co chcę pod choinkę!

Angela i syn wymienili porozumiewawcze spojrzenia i skierowali się do głównego pokoju. Lutecia ociągała się. Serce podeszło jej do gardła.

Belle dotarła do drzwi przed wszystkimi i wyszła na ganek, mając Angelę kilka kroków za sobą, natomiast Frank i Lutecia nie wychodzili na zewnątrz, tylko zerkali przez uchylone drzwi niczym powitalny orszak.

– Co ją opętało? – dziwił się Frank, wskazując siostrę otwartą dłonią.
– Nie wspominałaś, że jest farmerem?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szeroko i Russell wkroczył do środka.

Lutecia na jego widok miała wrażenie, że się dusi. Stał i bez słowa świdrował ją wzrokiem, aż zadrzała. Znacznie górował nad Belle i Angelą i trudno by go było wziąć za zwykłego farmera. Nad dzinsy przedkładał szyty na miarę jasny garnitur dopasowany do męskiej, szerokiej klatki piersiowej, imponujących barków i wąskich bioder. Ciemną opaleniznę podkreślała kremowa, jedwabna koszula. Arogancko przystojny, odznaczał się surową, męską urodą. Pod sterzczącymi brwiami zmrużone oczy błyszczały tajemniczo i nieustępliwie.

Wyjął z kieszeni koszuli papierosa, pochylił głowę, by go przypalić, nie spuszczać przy tym wzroku z Lutecii. W kąciku rzeźbionych ust drgał wyrachowany uśmiech.

– Mogłabyś się przywitać – upomniał ją niskim, zaciągającym głosem.

Przełknęła ślinę.

– Witaj, Russell – powiedziała po chwili, chwytając rękę Franka i ściskając ją zimnymi, zdrętwiałymi palcami. – To jest Frank Tyler. Frank, to jest Russell Currie – dodała cała spięta, przedstawiając ich sobie.

Frank podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Ja jestem... cieszę się, że mogę pana poznać, panie Currie – przywitał się z wahaniem, jakby nie był do końca pewny. – Lutecia dużo mi o panu mówiła – dodał, jednak po jego zaintrygowanym spojrzeniu mogła się zorientować, że to, co zobaczył na własne oczy, przeczyło wszystkiemu, co mu wcześniej opowiadała.

Russell uścisnął wyciągniętą dłoń i unosząc na znak zdziwienia jedną brew, zerknął na czarnowłosą dziewczynę, która stała za Frankiem.

– Czyżby? – spytał od niechcienia.

– Pańska siostra jest kochana – rzuciła Belle.

– Tak bardzo się cieszymy, że jest tu z nami.

Rozbawiony Russell uniósł tym razem obie brwi. Lutecia odwróciła wzrok. I na co by się zdało, gdyby powiedziała mu, że próbowała sprostować to, co Tylerowie wyobrażali sobie na temat tego, co ich łączy, ale zrezygnowała? I tak by nie uwierzył.

– Może kawy? – przymilała się Belle. – Albo herbaty? Cokolwiek sobie pan życzy... – dodała, spuszcżając uwodzicielsko wzrok.

– Pozostanę przy kawie – odpowiedział mocno już rozbawiony Russell.

– To zajmie tylko minutkę! – Belle niemal wybiegła do kuchni. Lutecia po raz pierwszy widziała ją tak ożywioną.

– Zechce pan usiąść, panie Currie? – spytała Angela, klepiąc kanapę obok siebie. Jej zazwyczaj zimne, nieprzyjazne oczy uśmiechały się do niego.

– Bardzo się cieszę, że w końcu pana poznałam. Lutecia mówiła nam, że ma pan farmę w Georgii, ale nigdy bym się nie spodziewała... – Ugryzła się w język, czując, że traci wyrachowaną pewność siebie. – Mam na myśli...

Russell skrzyżował długie nogi i pochwycił spojrzenie Lutecii.

– Dobrze wiem, co ma pani na myśli, pani Tyler

– odparł z kpiącym uśmiechem.

Spiorunowała go wzrokiem. W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza, którą przerwała dopiero Belle, zjawiając się z tacą z gorącą kawą i zarzucając Russella mnóstwem pytań.

Frank przysiadł na poręczy krzesła obok Lutecii, pochylił się i szepnął jej na ucho:

– Otyły kawaler w średnim wieku, co? – zażartował. – Dobry Boże, toż to chodząca wytworność! Czy może tak go opisałaś z powodu siostrzanej rywalizacji?

Zaczerwieniła się.

– Tak go opisałam, jak go pamiętałam – wymamrotała żałośnie.

– Ty się go boisz.

Spojrzała na niego z paniką w oczach.

– Boję się? – powtórzyła za nim. – Jestem przerażona!

Przez jasną twarz Franka przemknął cień.

– Zostań u nas – powiedział. – On nie może cię zmusić do powrotu.

Złapała go za rękę.

– Nie może? – Zaśmiała się z przymusem.

– Frank, uważasz, że potrafisz mu się sprzeciwić? Już chciał coś odpowiedzieć, ale zerknął w kierunku Russella i słowa zamarły mu na ustach. Russell Currie przyglądał im się z wściekłą ciekawością, słuchając jednocześnie banalnych uwag Angeli.

Nikt, myślała zirytowana Lutecia, nie jest w stanie z nim wygrać. Miała wrażenie, że całe życie szukała mężczyzny, który by był wystarczająco silny.

– Niestety, na mnie już czas – powiedział nagle Russell, przerywając jej rozmyślenia. Spojrzał na zegarek. – Muszę się spotkać z kupcem, który leci do mnie z Dallas. Będziemy negocjować cenę bydła. Tish, pozbieraj swoje rzeczy.

Pod wpływem władczego tonu wstała odruchowo, choć nie znosiła tego, ale i nie opierała się. Zdrobnienie jej imienia pochodziło jeszcze z dzieciństwa, kiedy to jak cień wszędzie się pętała za tym roslym mężczyzną i kochała go, nawet gdy się z nim kłóciła.

– Zaraz wracam – powiedziała i mijając Franka, lekko pocałowała go w policzek. Zignorowała uniesione brwi Russella i wyszła z pokoju. To był pierwszy tkliwy gest, na jaki zdobyła się przed całą rodziną i przez chwilę zastanawiała się, dlaczego czuła, że musi tak postąpić.

Kiedy wróciła do pokoju z walizką i torebką, Belle Tyler siedziała na kanapie między swoją matką i Russellem tak blisko niego, że trudno by wetknąć między nich szpilkę. Lutecia bezwiednie zacisnęła usta.

– Och, już jesteś, kochanie – zawołała Belle.

– Właśnie mówię Russellowi, że Frank i ja bardzo chętnie wpadniemy do was z wizytą.

– Mam nadzieję, że nie będziemy przeszkadzać – mruknął Frank.

– Wcale – odrzekł chłodno Russell. – Zaproszenie obejmuje także panią, pani Tyler.

– Jest pan bardzo miły – odrzekła z uśmiechem – jednak muszę zajmować się interesami. Od śmierci męża prawie cała odpowiedzialność za firmę spadła na mnie, wie pan.

Przyjął bezbarwne oświadczenie z półuśmiechem, co niemal rozśmieszyło Tish. Ruch Wyzwolenia Kobiet mógłby objąć cały kraj, ale w autorytarnym słowniku Russella na takie słowa nie było miejsca.

Pochylił się i wziął walizkę z rąk Tish, spojrzawszy jej przy tym prosto w oczy.

– Denerwujesz się, kochanie? – spytał tak cicho, że nikt inny go nie słyszał.

– Z twojego powodu? Bardzo zabawne.

– Odkąd tu jestem, uczepiłaś się Tylera jak ostatniej deski ratunku. – Skierował się do drzwi.

Gdy niósł jej rzeczy do wynajętego samochodu, Lutecia wymieniła ze wszystkimi uprzejmie słowa pożegnań, lecz gdy Frank, trzymając ją za dłoń, odprowadzał ją do samochodu, jej ręka drżała.

– Głowa do góry – szepnął do ucha. – Cokolwiek by było, to twój brat, ta sama krew, rodzina. Przyjadę za dwa tygodnie. Myśl o tym.

– Będę tym żyła. – Uniosła usta do jak zwykle szybkiego, delikatnego pocałunku.

– Jedziemy – rzucił niecierpliwie Russell i usiadł za kierownicą, nie zwracając uwagi na zaborcze spojrzenia Belle.

Lutecia usiadła obok niego i odjechali żegnani chóralnym „do widzenia”, które długo jeszcze dzwoniło jej w uszach.

Gdy mknęli międzystanową autostradą, poczuła na sobie jego wzrok.

– Tish, kogo właściwie oni się spodziewali?

– spytał spokojnie. – Prostaka w potarganych dzinsach z widłami w łapach?

Z uwagą zaczęła przyglądać się swoim dłoniom.

– Przynajmniej Belle nie była tobą rozczarowana.

– Zerknęła na niego. – Nic, tylko dawała ci znaki pod tytułem: „Weź mnie, jestem twoja”.

– Nie ona pierwsza, dzieciно, próbuje do mnie startować. Ustawia się tych panienek cała kolejka – powiedział obojętnie i zapalił papierosa, nie spuszczać oczu z drogi. – Jak na razie kręci się od cholery kobiet wokół mnie.

– Zawsze tak było – palnęła nieopatrznie i zaczerwieniła się. – Lecą na twoją forszę – dodała szybko.

– Innymi słowy, pociągam je wyłącznie wielkością portfela? – Uśmiechnął się nieznacznie.

– Niby skąd miałabym to wiedzieć? – fuknęła.

– No właśnie, skąd? – Cichy śmiech wypełnił samochód. – Podobno jestem twoim bratem?

Zaczerwieniła się aż po cebulki włosów.

– To oni tak się domyślali. Próbowałam im wyjaśnić, ale...

– Diabła tam próbowałam.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i patrzyła przez okno.

– Co myślisz o Franku? – spytała od niechcienia.

– Miły chłopak. Z czego się utrzymuje?

– To nie jest żaden chłopak! – warknęła.

Poczuła na sobie jego przenikliwy wzrok.

– W porównaniu ze mną chłopaczek. Jestem od niego starszy co najmniej o dziesięć lat.

– On ma dwadzieścia sześć.

– No to o osiem. Zadałem ci pytanie.

– Jest wiceprezesem rodzinnej firmy. Branża elektroniczna.

– No dobrze. Jest śliczny.

– To tak jak ty – odcięła się, unosząc upartą brodę.

– Też jesteś śliczny, a kiedy silisz się na złośliwości, to z każdym słowem robisz się jeszcze śliczniejszy! Istne чудо!

Niemal zadrżała, czując na sobie jego intensywne, płomienne spojrzenie.

– Powiem to tylko raz – powiedział pozornie łagodnym tonem. – Jesteś za bardzo przewrażliwiona. Istnieje granica, której lepiej żebyś nie przekraczała, kochanie.

Usta jej drżały z niechęci i ze strachu.

– Mam prawie dwadzieścia jeden lat, Russell – powiedziała w końcu.
– Nie chcę być traktowana jak dziecko. Kontrolowałeś mnie od szkoły podstawowej, ale dłużej nie mam zamiaru tego znosić.

– Nie łudź się – powiedział stanowczo i dmuchnął dymem w jej stronę. – Zniesiesz ode mnie wszystko i poprosisz o jeszcze. A może nie?

Skuliła się w sobie, ponieważ w jego głosie było więcej groźby, niż gdyby krzyczał.

– Ty to zacząłeś – wymamrotała ze łzami w oczach.

– Wtedy, na plaży po prostu oszalałeś. I nadal jesteś jak oszalały.

Russell, czy musisz być taki okrutny?

– Dziecino, nawet nie wiesz, jak okrutny potrafię być – stwierdził rzeczowo. – A jeśli nie pohamujesz języka, to się przekonasz.

Odetchnęła głęboko, powstrzymując łzy.

– Przepraszam – wykrztusiła w końcu, niemal dławiąc się własną dumą.

Dojechali do miasta. Russell stanął na światłach, przerzucając leniwie ramię przez oparcie fotela. Lustrował jej mizerną twarz, aż niechętnie odwzajemniła spojrzenie.

Wziął w palce zwisający kosmyk jej włosów i pociągnął.

– To tak się witasz z mężczyzną, którego nie widziałaś cały rok? – spytał ostro.

– To już tak długo? – udała zaskoczoną.

– Och, doskonale wiesz, ile to trwało. Ale ty nadal ode mnie uciekasz.

– Wpił się w nią rozpalonym wzrokiem.

– Nie chcę o tym mówić – odpowiedziała drżącym głosem. Sięgnęła do jego ręki, żeby uwolnić włosy.

Schwycił jej palce w swoją wielką, ciepłą dłoń. Jego dotyk elektryzował ją i porażał.

– Wcale nie chcę być taki brutalny – powiedział cicho, szukając oczami jej wzroku. – Do diabła, nie chcę też, żebyś zniknęła z całym majdanem, nie dając mi szans na wyjaśnienie.

Poczuła chłód w palcach i dziwny ból w sobie. Szarpnęła rękę. Puścił ją, ruszając ze skrzyżowania.

– Mój Boże – odezwał się po chwili ostrym głosem – przecież ty flirtujesz z każdym, który ci się nawinie, łącznie ze mną. – Po czym dodał, spojrzawszy na nią wyzywająco: – Spodziewałaś się po mnie, że co sobie pomyślę? Przecież byłaś tam, w tej łaźni, w ramionach Jimmy'ego Martina, w samym tylko ręczniku na sobie. Miał cholerne szczęście, że go nie zabiłem.

Pod wpływem wspomnień zacisnęła powieki. Wciąż pamiętała bezwzględne, błyszczące oczy Russella, kiedy tamtego dnia dosłownie wyrzucił Jimmy'ego za drzwi.

Jim uciekał w panice, ratujący życie i zostawiając Lutecię sam na sam z rozwścieczonym Russellem, zjadliwymi oskarżeniami i tym, co się stało potem...

– Po pierwsze mogłaś powiedzieć mi o grzechotniku – powiedział Russell, skręcając na drogę prowadzącą na lotnisko.

– Szalałeś. Nic do ciebie nie docierało – wyszeptała ochryple. – Ten grzechotnik leżał zwinięty w moim ubraniu, a ja zobaczyłam go dopiero wtedy, kiedy zdjęłam kostium kąpielowy. Złapałam ręcznik i zaczęłam krzyczeć...

– I tak się złożyło, że Martin okrążył konno jezioro. Wiem, do diabła.
– Zaciśnął szczęki. – Mindy powiedziała mi, że zadzwoniłaś do niej, żeby ci przyniosła ubrania. Zanim się uspokoilem i wróciłem do domu, ty już byłaś daleko. W akademiku nawet nie odbierałaś telefonów.

– Nie chciałam ani z tobą rozmawiać, ani cię widzieć – szepnęła, odwracając głowę, jakby pragnęła umknąć stąd jak najdalej.

– Tak mi powtórzyła twoja koleżanka z pokoju.

– Zaparkował auto i wyłączył silnik. Zmrużył ciemne oczy i zaczął jej się przyglądać, zatrzymując wzrok na głębokim dekolcie tak wymownie, że zażenowana skrzyżowała ramiona.

Czy on też sobie przypomina, zastanawiała się, co się stało, kiedy Jimmy Martin uciekł?

Nadal miała w uszach głos Russella. Cichą furie, która bolała jak uderzenia bata, kiedy zagarnął w ramiona jej ciało drżące w mokrym ręczniku.

– Na Boga, całe lato się o to prosiłaś – warknął, trzymając ją bezlitośnie, mimo że się wyrywała.

– Dlaczego się teraz opierasz?

Pochylił głowę. I nawet w tej chwili, choć minął rok, nadal czuła na ustach okrutny nacisk jego ust. Upokarzający, zimny pocałunek bez czułości. Wspominała to jak karę za jej dumę i jak ranę na jej miękkich ustach. Kiedy skończył, a ona trzęsła się niczym listek, odepchnął ją od siebie. I wyszedł z łaźni, lżąc ją tak strasznymi słowami, że z płaczem uciekła z Currie Hall, nim zdążył wrócić do domu.

Nerwowo przełknęła ślinę, unikając jego skupionego spojrzenia.

– Nie mogę zapomnieć – szepnęła – jak mnie nazwałeś. To wszystko nieprawda, to... !

– Wiem. – Dotknął jej rozpalonego policzka.

– Boże, Tish, byliśmy sobie tak bliscy! Przecież wiedziałem o tym nawet wtedy, kiedy cię oskarżałem. Ale gdy zobaczyłem ciebie i Martina... po prostu straciłem głowę. I myślałem tylko o jednym, żeby sprawić ci ból.

– I sprawiłeś...

Dotknął lekko jej pełnych, miękkich warg.

– Wiem. Jeszcze czuję twoje usta drżące pod moimi.

Zaczerwieniła się. Do tamtego dnia ona i Russell byli jak rodzeństwo. Jako nastolatka wszędzie za nim chodziła. Nawet na nudnych aukcjach inwentarza zносиła zapach bydła, koni, potu i dymu po to tylko, żeby być blisko niego.

Tak było przez całą szkołę. Kiedy inne dzieci wyśmiewały się z niej, że jest córką biednego dzierżawcy, przechwalała się swoim wspaniałym, przyrodnim bratem. Ale nawet kiedy Russell kupił jej nowe ubrania, dzieci nadal drwiły z jej sukienek z worków na mąkę. Mogła tylko straszyć ich Russellem, a że znały jego charakter, to dawały spokój. Tak wyglądało jej dzieciństwo. Teraz jednak już nie była „siostrą”...

– Minał rok – Russell zamyślił się. – A ty nadal się mnie boisz.

Powstrzymała się przed pochopnym zaprzeczeniem i gładząc czarny kosmyk, powiedziała cicho:

– Proszę, nie chcę o tym mówić.

Zapalił papierosa i przez jakiś czas milczał.

– Tish, do cholery, uciekając od problemów, niczego się nie osiągnie
– powiedział w końcu.

Uniosła dumnie brodę.

– Nie mam żadnych problemów.

– Dzięki ci, święta Joanno, za to stoickie wyznanie. Pomodlimy się teraz o deszcz, zanim zgorzejesz na stosie?

Rozśmieszył ją. Spłonęła rumieńcem i parsknęła śmiechem. Ciemne oczy Russella rozbłysły w rozbawieniu i nagle cała niechęć, którą do niego czuła, znikła jak nikną cienie w promieniach słońca.

– Russell, ty... ! – krzyknęła zirytowana. Zachichotał i zgasił papierosa.

– No, smarkulo, jedziemy do domu.

Kilka minut później siedziała w kokpicie cessny, a Russell wypełniał procedury startowe, coś, czego nadal nie pojmowała.

W milczeniu pieściła wzrokiem jego czarne, połyskujące włosy. Niezależnie od tego, co się zdarzyło przed rokiem, śniła o nim jak dawniej, a dziwna tęsknota nie ustępowała. Nadal prześladował ją błysk, który ujrzała w jego rozgniewanych oczach w tamto leniwe, letnie popołudnie, kiedy całe jej życie nagle uległo zmianie.

W każdym razie miała Franka, który był młodszy, przystojny i niezbyt wymagający. Franka, przy którym mogła zapomnieć o koszmarnej dzieciństwie.

Dziwne to było, że znowu zapragnęła ujrzeć Currie Hall. Zobaczyć małą, silną Mattie o skórze koloru kawy, która nazywała ją „trzcinką cukrową” i cackała się z nią. Tęskniła do starego Joby'ego, który z leniwym uśmiechem polerował w kuchni srebra i mruczał swoje pieśni, a Mattie gotowała. Tęskniła do wesołego śmiechu Eileen i zapachu starego, strze-listego domostwa, zagnieżdżonego pomiędzy drzewami hikory, tak starymi,

że pamiętały czasy wojny secesyjnej i obdartych żołnierzy konfederatów przedzierających się do domu.

Jak to możliwe, zachodziła w głowę zdezorientowana Lutecia, kochać coś i zarazem tego nienawidzić. I znowu wróciła wzrokiem do Russella, który już siedział obok niej gotowy do lotu.

Rzucił zeszyt z procedurami startowymi na tył czteroosobowego samolotu i uśmiechnął się szeroko do Tish.

– Gotowa?

– Gotowa. – Sprawdziła pasy bezpieczeństwa i drzwiczki, a Russell kołował na pas, gdzie mieli czekać na pozwolenie startu.

Kiedy je otrzymali, odciągnął przepustnicę i mały samolocik, nabierając prędkości, wzbił się w niebo. Wtedy poczuła radosne podniecenie.

Russell, widząc jej uszczęśliwioną minę, zachichotał.

– To nie do mnie tęskniłaś, ale do tego cholernego samolotu.

– Kocham go! – rzuciła, przekrzykując warkot silnika.

– Naprawdę? Poczekaj, aż znajdziemy się nad otwartym terenem i zrobimy kilka beczek...

– Nie możesz! – krzyknęła, chwytając się za fotel.

Jej przerażone oczy bardzo go rozbawiły. Odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się, jakby był samym diabłem.

– Russellu Currie, jeżeli ośmielisz się odwrócić mnie w tym cholernym pudle głową w dół, to... wyślę anonim do władz Lotnictwa Federalnego, zobaczysz – wykrztusiła.

– Dziecino, wiesz przecież, że niczego się nie boję – odrzekł. – W porządku, uspokój się. Zachowamy akrobacje na potem.

Zerknęła na niego niespokojnie. Na razie lew był zadowolony. Jego ciemne oczy błyszczały radością. Widać było, że lot nad zatłoczonymi autostradami i przebijanie rozrzedzonych chmur sprawiały mu ogromną przyjemność.

Zastanawiała się, czy pamięta loty bojowe w Wietnamie, gdy ona i cała rodzina żyli każdym jego listem i nieczęstymi telefonami zza oceanu. I codziennymi wiadomościami o szóstej z pola walki. Został ranny podczas ataku na bazę i spędził tygodnie w szpitalu na Hawajach. Kiedy w końcu wrócił do domu, miał w oczach śmierć. Zaczął ostro pić, ale chodziły słuchy, że nie z powodu przegranej wojny, lecz z powodu kobiety, która zmarła w czasie porodu. Jedynej kobiety, którą kochał. Tego tematu nikt, nawet Baker, nie śmiał poruszać przy Russellu. Tish zaś wiedziała o tym tylko z zasłyszanych strzępów rozmów.

Przyglądała mu się z ukosa. Jego reputacja, jeśli chodzi o kobiety, wystarczała, by zatroskane matki bladły. Jednak Lutecia unikała myślenia o nim w ten sposób. To było zbyt niebezpieczne, rozpamiętywać, jakie wrażenie zrobiły na niej jego silne ramiona, którymi ją otoczył, ani jak jego mocne usta...

Odwrócił się nagle i pochwycił jej ciekawskie spojrzenie. Zupełnie jakby te przenikliwe, czarne oczy widziały jej myśli. Patrzył natarczywie, unosząc brew, na miękką linię jej ust, aż się zaczerwieniła i odwróciła do okna.

Cichy śmiech zlał się z szumem silnika. Zacisnęła powieki.

Zdawało się, że minęły ledwie minuty, gdy ujrzeli pod sobą rozległy prostokąt miasta Ashton, niczym oazę cywilizacji pośród bezkresów farm, pól i łąk.

Tish uśmiechała się bezwiednie, patrząc na rozrastającą się i rozkwitającą metropolię, której ekonomia opierała się pierwotnie na rolnictwie. Ashton było starym miastem z konfederacyjnymi korzeniami, w którym mimo pozorów nowoczesności dawne uprzedzenia pozostały.

Jak wszystkie miasta Południa, panowała tam zmysłowa, leniwa atmosfera wzajemnych uprzejmości, co podobało się rdzennym mieszkańcom, ale denerwowało niecierpliwych turystów z Północy. Otaczający krajobraz przedstawiał sobą artystyczną wizję zielonej doskonałości, od wzgórz opadających łagodnymi zboczami w stronę miasta po dębowe zagajniki i drzewa hikory rosnące pośród mozaiki nowoczesnej i starej architektury.

Wzdłuż szerokich, mocno uczęszczanych ulic wznosiły się kościoły. Przeważnie baptystów, szczerych aż do bólu za każdym razem, gdy chodziło o przywrócenie referendum w sprawie alkoholu. Republikanie tworzą rzekomo zgraną społeczność, ale demokraci przegłosowują ich tak miażdżąco, że większość z nich niechętnie przyznaje się do politycznych sympatii. Wichrzycieli załatwia się tu szybko, skutecznie i niekoniecznie zgodnie z prawem. Faktycznie, szeryf Blakley, będący szeryfem od tak dawna, że nikt już nie pamięta tych czasów, gdy nim nie był, znany jest z tego, że przegonił ze swojego terenu patrol stanowy i agentów FBI, gdy zaczęli podważać jego autorytet. Okręg Creek robił wrażenie tym, że własne sprawy załatwia się tu we własnym gronie, pomijając rządy stanowe.

Tish uśmiechała się, pogrążona w rozmyślaniach. Jej kraj rodzinny, ze wszystkimi wadami i przywarami. Georgia. Początek i koniec świata, chciała tego czy nie. Tu, w największym na wschód od Missisipi stanie USA, żyli jej przodkowie. Farmerzy od niemal stu pięćdziesięciu lat...

Farmerzy. To jedno słowo wystarczyło, by sposepniała. Ojciec. Jego przerażający, nieludzki krzyk...

– Nie! – wyrwało się jej.

– Mała, co się stało? – zapytał natychmiast Russell, niespokojnie na nią zerkając.

– Nic, nic. – Oparła się o fotel i przymknęła oczy, walcząc ze wspomnieniem.

Postawił samolot bezbłędnie na prywatnym pasie przy Currie Hall. Kiedy dostrzegła dom wyłaniający się w oddali z za zielonej kurtyny dębów i hikory, serce zabiło jej mocniej.

Pola za lądowiskiem pokryte były zielonymi odrostami orzechów ziemnych i soi, jak mogła sądzić po ich wysokości. Jednak zieleń nie była tak soczysta, jak być powinna. Spojrzała na Russella pytającym wzrokiem.

– Susza – odpowiedział tak, jak odpowiadał na większość jej milczących pytań, jakby umiał czytać w jej myślach. – Przekłete, długie upały. Musiałem dwa razy siać. Co gorsza, w tym miesiącu wydałem krocie na walkę z poczwarkami mola bawełnianego. Z bydłem też były problemy – dodał, szybkim ruchem dłoni wyłączając silnik. – Na zimę nie będzie dość kiszonki, co znaczy, że w tym roku więcej wydamy na paszę. Tak jest w prawie całym stanie. Piekielnie kiepski rok.

– Będziesz musiał sprzedać większość bydła – zauważyła zamyślona.

– Albo je wykarmić. Tak czy owak, same straty.

– Spojrzał na nią z ciekawością. – Pamiętasz więcej, niż przypuszczałem, mimo że dwa lata tkwiłaś w betonach. Zaczynam wierzyć, że czytałaś gazety gospodarcze.

- Baker wykupił mi subskrypcję prasy lokalnej. Wiem nawet o grzybicy niszczącej zbiory dla trzody.
- Boże! – wykrzyknął z niechętnym podziwem.
- Jeszcze się nadasz na żonę dla jakiegoś farmera. Spojrzała na niego spode łba.
- Przecież od dawna ci mówię, że nigdy nie wyjdę za farmera. Wolę umrzeć, niż zagrzebać się na wsi na resztę życia.

Skupił wzrok na jej twarzy.

- Gdybyś była o kilka lat starsza, mógłbym zmienić twoje zapatrywania w tej sprawie. Kiedy przestaniesz chować głowę w piasek? Nigdzie nie uciekniesz, mała.

– Niby od czego uciekam? – spytała, zaciskając kształtne usta.

- Od przeszłości, dzieciństwa... ode mnie – dodał z dziwnym półuśmiechem.

Wstrzymała oddech, widząc wyraz jego oczu.

Otworzyła drzwi kabiny i zeszła na rozgrzaną nawierzchnię, odrzucając nerwowo włosy.

Poszła do dżipa, który stał na poboczu pasa, tam, gdzie go Russell wcześniej zostawił. Kiedy dotarł do auta z jej walizkami, siedziała na miejscu obok kierowcy, zde gustowana zezując na cienką warstwę kurzu na siedzeniu.

- Mam jeszcze w pamięci małą dziewczynkę, której kurz wcale nie przeszkadzał – stwierdził, siadając za kierownicą.

– Ale już nie jestem małą dziewczynką.

Czuła na sobie jego cierpliwe, ale intensywne spojrzenie.

– Boże, przecież wiem – mruknął pod nosem. Zerknęła na niego kątem oka i kiedy napotkała

jego przenikliwy wzrok, przeszył ją niespokojny dreszcz.

Nagle Russell odwrócił się i włączył silnik.

– Do diabła, jedźmy stąd. Upiekę się w tym skwarze. – Dżip ruszył gwałtownie.

– Jak się czuje Baker? – spytała, gdy jechali żółtą od kurzu drogą w stronę farmy, mijając lśniące konie na niegdyś zielonych pastwiskach.

Nakrapiane boki świadczyły, że to rasa appaloosa.

– Zdrowieje – powiedział. – Powoli – dodał z nieznacznym uśmiechem. – Mindy trzyma go w West Palm Beach, byle dalej od koni, ale kiedy wróci do domu, sam diabeł go nie utrzyma z dala od stajni.

– Kiedy to będzie?

– Na Boże Narodzenie. Dlatego tu jesteś – odpowiedział, gniotąc w popielniczce dopalony papierosa. – Nie mogę jednocześnie zajmować się farmą i Eileen, kiedy mam żniwa za pasem.

– To wszystko? – zaciekawiała się.

– Nie, nie wszystko. Jest jeszcze chłopiec. – Spojrzał na nią gniewnie. Uniosła brwi i złośliwie się uśmiechnęła.

– Super, zawsze chciałam być zawodową opiekunką! Poza karmieniem świń to właśnie lubię najbardziej.

Zachichotał i kręcąc głową, skierował auto na podjazd.

– Ty smarkulo, co ja bym bez ciebie zrobił?

– Biedny pan Currie, biedny. – Potrząsnęła długimi włosami, po czym zaczęła rozglądać się po rozległych polach z koronami drzew daleko na horyzoncie, zza którego wyłaniał się wyniosły, biały budynek.

Kwadratowe kolumny i czyste linie sprawiały, że był równie okazały co otaczające go dęby i hikory.

Gdy Russell podjeżdżał do schodów, na szeroki ganek wyszła Mattie. Tish z okrzykiem radości rzuciła się w objęcia drobnych, ale nadal krzepkich ramion.

Szczupła, niewysoka Murzynka przycisnęła ją mocno, kładąc siwą głowę na jej ramieniu.

– Mój Boże, prawie zapomniałam, jaka jesteś piękna, trzcinko cukrowa. – Roześmiała się. – Jak dobrze, że znowu jesteś w domu!

– Jak dobrze znowu być w domu – szepnęła Tish. Dostrzegła huśtawkę, w której huśtała się, kiedy

była mała, i duży fotel na biegunach. Wieczorami, kiedy na ganku zbierała się rodzina, Russell siadał w nim, brał ją na kolana i bujał.

W drzwiach pojawił się Joby, trochę bardziej zgarbiony, ale nadal dumny mimo podeszłego wieku. Uśmiechnięty od ucha do ucha, wziął wyciągniętą rękę Lutecii w swoje dłonie i serdecznie uścisnął.

– Witaj w domu, panienko Tish – powiedział. – Z tobą zawsze jest nam dobrze. Panienska Eileen nie robi dość hałasu, by ożywić to stare miejsce.

– Nie byłbym tego taki pewien – stwierdził ponuro Russell. – Jeszcze dwie godziny tego ostrego rocka i wyrwałbym bezpieczniki wczoraj wieczorem. Ten okropny magnetofon zbudziłby umarłego.

– Ma dopiero siedemnaście lat, Russell – zaprotestowała Tish.

– To samo Baker mówił o tobie, i co? Uważasz, że powinienem był kupić ci magnetofon?

Spojrzała na niego spode łba. Ciemna opalenizna nadawała mu nieco egzotyczny wygląd. Zwarta, żylasta budowa, szerokie bary i twarda klatka piersiowa, która niegdyś tuliła główkę dziewczynki. Otaczała go tak zmysłowa, męska aura, że nagle poczuła się, jakby chciała uciekać.

– Jesteś tyranem i dobrze o tym wiesz – odpowiedziała, maskując strach niechęcią.

– A ty jesteś małą buntowniczką – odparł z leniwym uśmiechem. Zwężił oczy do błyszczących szparek. – Pazury do mnie wyciągasz, kotku?

– A ty musisz traktować mnie jak głupka, Russell? – odcięła się.

– Lepiej zadzwoń do pani Nany – wtrąciła szybko Mattie, stając między nimi. – Powiadom Eileen, że już jesteś. W tym całym zamieszaniu zupełnie zapomniałam ci powiedzieć, że nie ma jej w domu.

– Zrobię jej niespodziankę. – Tish zerknęła na Russella, który stał bez słowa z papierosem w ręku i obserwował ją. – Mogę pożyczyć twój samochód?

– Do diabła, nie.

Usta zadrgały jej w nikłym uśmiechu.

– Życzyłabym sobie jasnej odpowiedzi – stwierdziła.

Kiedyś by się na coś takiego roześmiał, lecz teraz twarz miał nieprzeniknioną. Jedyne zmrużone oczy miały taki wyraz, że nogi się pod nią ugiwały.

– Flirtując, niczego ode mnie nie uzyskasz – powiedział posepnie. – A może masz krótką pamięć?

Zaczerwieniła się cała.

– Znowu zaczynają – mruknęła stojąca za nią Mattie, a Joby wycofał się do kuchni.

– Ja wcale nie... – zaprotestowała.

– Kiedy będziesz na górze – ciągnął Russell, omiatając wzrokiem odkryte krągłości jej pełnych piersi – włoż inną bluzkę. Ten strój jest może dobry na plaży, ale stąd do oceanu kawał drogi.

– Wyjąłeś mi to z ust – mruknęła Mattie i natychmiast pośpieszyła za Jobym, widząc kątem oka błysk gniewu w dużych, szarych oczach Tish.

– Russellu Currie, nie mam zamiaru... ! – zaczęła.

– Zamknij się. – Wypowiedział te słowa bardzo spokojnie. Nawet nie podniósł głosu. Ale wystarczyło zobaczyć wyraz jego oczu. Już kiedyś była świadkiem, jak samym tylko spojrzeniem, bez jednego słowa, rozdzielił bijących się robotników rolnych. – Będzie lepiej, jak od razu coś sobie ustalimy – powiedział cicho. – Zabawa to jedno, i też to lubię, tak jak ty. Ale flirtowanie to coś innego. Zachowaj to dla Tylera. Nie chcę żadnych powtórek z zeszłego lata.

Od tłumionej wściekłości aż drgały jej usta.

– Ani ja – powiedziała tak zimno i wyniosłe, jak tylko potrafiła, unosząc dumnie brodę. – I nie flirtowałam. Twierdzisz, że jestem za bardzo przewrażliwiona, ale myślę, że jest wręcz odwrotnie, Russell.

Zaciągnął się głęboko.

– Dziecino, po prostu zajmij się Eileen, a zalotne spojrzenia rzucaj chłopcom w twoim wieku. Powinnaś już wiedzieć, że ze mną albo wszystko, albo nic, we wszystkim.

Wyprostowała się i skierowała ku schodom.

– Jestem w domu ledwie dziesięć minut, a ty jak zwykle wyciągasz pochopne wnioski – powiedziała lodowato. – W porządku, Russell. Jak wojna, to wojna. Nie będę wchodzić ci w drogę.

– Przebierz się. Zawiozę cię do Nany. Znieruchomiła, stojąc do niego tyłem.

– Wolałabym... a Joby nie może mnie zawieźć?

– Dziesięć minut – odpowiedział, odwracając się na pięcie.

Z Russellem kłopot jest taki, wściekała się, zmieniając strój plażowy na białe spodnie i bluzkę bez dekoltu w biało– brązowe wzory, że nie uzasadnia, tylko mówi, czego chce, ignorując zdanie innych.

I wychodzi. Oskarża ją o to, że z nim flirtuje. Żartowanie to flirt? Z zapalem zaczęła szczotkować długie, lekko kręcone włosy. Twarz w lustrze miała jak z kamienia. Jeżeli wytrzyma do przyjazdu Franka, przynajmniej będzie miała sprzymierzeńca. Przerwała czesanie i uśmiechnęła się. Na razie muszą jej wystarczyć Nana i Eileen. Westchnęła. Miała w końcu jakichś przyjaciół.

Czekał na nią w holu mocno zniecierpliwiony, choć zeszła na dół dwie minuty wcześniej, niż zarządził. W szytych na miarę brązowych džinsach i roboczej koszuli khaki wyglądał na jeszcze wyższego niż w garniturze. Spojrzał na nią beztrosko spod runda ranczerskiego kapelusza nasuniętego zawadiacko na sterczące brwi.

– Nie przesadziłaś przypadkiem? – zbeształ ją, lustrując od białych, włoskich sandałków aż po białą wstążkę spinającą z tyłu włosy. – Na kim chcesz zrobić wrażenie?

Nieskrywany sarkazm bijący z jego niskiego, ospałego głosu podział na nią jak uderzenie bata ze srebrną skuwką.

– Na pewno nie na tobie – odparowała, próbując się opanować.

Tylko się uśmiechnął na taką ripostę, ale nie był to wesoły uśmiech.

– Jedziemy.

Posadził ją w dżipie obok siebie i wycofał auto z garażu.

Zesztywniała, bojąc się poruszyć, żeby czerwony kurz nie przyłgął do białych spodni.

– Chcesz się przebrać w coś ciemniejszego? – spytał.

– Dlaczego nie jedziemy lincolnem? – odparowała ostro.

– Ja pracuję, nadęta panienko. – Wyprowadził dżipa na drogę. Kiedy zmieniał bieg, jego ręka znalazła się tak blisko jej nogi, że Tish przysunęła się bliżej drzwi. – Nie mogę jechać luksusowym lincolnem po ludzi kopiących dziury pod słupki. – Na to, że się odsunęła, nie zareagował najmniejszym nawet zerknięciem.

Wzruszyła ramionami i zaczęła się przyglądać łagodnym, zielonym wzniesieniom i pagórkom, których słodki zapach popołudniowy wiaterek nawiewał do auta. Znowu mijali nakrapiane konie. Skrzywiła się. Baker opowiedział jej przez telefon, że miał zawał, gdy chciał okiełznać ogiera appaloosa. Sam jednak miał w sobie tyle dzikości, że na pewno wróci do niego, żeby dokończyć, co zaczął. Nikt nie miał wątpliwości, że wróci do swoich koni. W rozmowie telefonicznej był z nią bardzo szczery.

Zerknęła na Russella. Siedział swobodnie z kapeluszem przekrzywionym na jedno oko, z obojętną miną. Ta sama dzikość była i w nim, myślała, mimowolnie studiując jego ostry, męski profil, mocne, brązowe dłonie na kierownicy. Russell, myślała, okiełzna wszystko, zwłaszcza kobietę.

Gdy podjeżdżali do rozłożystego chińskiego bzu, Russell nagle wyhamował i zatrzymał auto w cieniu. Zgasił silnik. Zapanowała cisza, którą od czasu do czasu przerywało cykanie świerszczy i ptasi szczebiot. Zupełnie inaczej, myślała Tish, niż nad szumiącym oceanem z krzykami

mew, inaczej niż na hałaśliwych ulicach zatłoczonego miasta. Co za ulga! Bezwiednie rozluźniła się na siedzeniu, zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

– Wiejska dziewczyna – powiedział ciepło, odganiając osę z jej gołego ramienia. – Nic nie poradzisz, mała, twoje serce jest tutaj, tak samo jak moje.

Odwróciła się do niego i napotkała przekorny wzrok, ale mając w pamięci, jak bardzo potrafił się pieklić i jak wtedy ją skrzywdził, nie umiała się uśmiechnąć.

– Co, jeszcze jeden wykład o szybkich facetach z miasta, ospałych dziewczynach z Południa i urokach życia na wsi? – spytała oziębło. – Mam wrażenie, że nie stać cię na kulturalną rozmowę, chyba że masz zamiar palnąć jakieś kazanie.

– Przestań. – Odsunął kapelusz na tył głowy i zaczął przyglądać się rozebranym do pasa robotnikom rolnym, którzy w tym upale szykowali się do przerwy na zimne piwo, zostawiając żółte i zielone traktory między rzędami siana, które grabili i układali w snopy. – Tish, czy ciebie nie męczy udawanie kogoś, kim nie jesteś? – spytał szorstko.

– Nikogo nie udaję – odpowiedziała chłodno i skrzyżowała ramiona, jakby miała dreszcze.

– Nie? – Zapalił papierosa, intensywnie się w nią wpatrując. – Bieda to nie powód do wstydu. Twój ojciec...

– Proszę! – Pochyliła głowę, przygryzając wargi. – Nie zaczynaj! Westchnął ciężko.

– Mój Boże, minęło tyle lat, a ty nadal nie potrafisz o tym rozmawiać? Dusisz to w sobie...

– Proszę! – powtórzyła ochryple.

– W porządku, do cholery! – Spojrzał na nią niespokojnie. – Boże, dziewczyno, nie możesz tak cierpieć.

Odrzuciła włosy i powstrzymując łzy, zwróciła twarz do wiatru.

– Możemy jechać? Chcę zobaczyć Eileen i Nanę.

– Czy Tyler zna prawdę? – warknął zniechęca. – Powiedziałaś mu o swoim pochodzeniu? Przejął się?

Przeszył ją dreszcz.

– Nie waż się mu mówić... ! – krzyknęła, jakby ją uderzył.

Zachował kamienną twarz, ale coś w jego oczach błysnęło.

– Od siebie nie uciekniesz, pamiętaj. Myślała, że go uderzy.

– Russell, niczego nie zapomniałam. Czy o to ci chodzi? – spytała chrapliwie, tłumiąc łzy. – Pamiętam sukienki z worków na mąkę i za duże tandetne buty. A zwłaszcza to, jak inne dzieci wyśmiewały się ze mnie, bo nie miałam nic... nic w ogóle! Ale miałam swoją dumę i nigdy nie dałam po sobie poznać, jak bardzo cierpiałam! – Oczy miała rozszerzone od bolesnych wspomnień. – Nawet kiedy przywiozłeś mnie tutaj, dałeś mi nowe ubranie i kupiłeś lepsze buty, nic się nie zmieniło! Nadal byłam bachorem dzierżawcy i nikt nie chciał mieć ze mną do czynienia, bo byłam białym śmieciem! Wielkie dzięki, bardzo dobrze to pamiętam!

– Pamiętasz same złe rzeczy – powiedział cicho, ocierając z jej policzka jedną, jedyną łzę. – Ale ja pamiętam, że nigdy nie wymigiwałaś się od obowiązków, nigdy nie kłamałaś i nigdy o nic nie prosiłaś. Przez całe te lata, Tish, ani razu o nic nie poprosiłaś. Miałaś aż tak dużo?

Pochyliła głowę.

– Miałam ciebie, Russell – szepnęła. – Byłeś moim najlepszym przyjacielem... wtedy.

– A teraz jestem twoim najgorszym wrogiem? – Odsunął kosmyk z jej czoła.

– Właśnie – odparła lodowato. Odsunął rękę i zapalił silnik.

Kilka minut potem Russell z piskiem hamulców zahamował pod starym domem Colemana. Tish uśmiechnęła się na widok znajomej architektury jeszcze sprzed wojny secesyjnej. Biały, dwupiętrowy budynek z kwadratowymi kolumnami. Bardzo zwyczajny, jak sam Jace Coleman, bez ozdób i rzeźbień. Przez całą szerokość fasady biegł ganek, a na nim huśtawka i stare, ale wygodne bujane fotele i doniczki z kwitnącymi każdej wiosny kwiatami.

Kiedy Tish, ignorując czujny wzrok Russella, wysiadała z dżipa, z domu dobiegły kobiece głosy.

– Wróciłaś, ty naprawdę wróciłaś! – Mała, puszysta trąba powietrzna z krótkimi, czarnymi włosami, przeleciała przez ganek, zbiegła po schodach i rzuciła się do obściskiwania Tish, niemal ją wywracając.

– Lena! – szeptała Tish, obejmując młodszą od siebie dziewczynę. – Tęskniłam za tobą.

– Chyba żartujesz. Z tym błękitnookim, jasnowłosym adonisem u twych stóp, o którym tyle mi opowiadałaś, ty tęskniłaś? Daj spokój, Tish! – śmiała się Eileen, błyskając cudownie białymi zębami i dużymi czarnymi oczami. – Ja tęskniłam naprawdę. Nie masz pojęcia, jak nieznośny stał się ostatnio Russell!

– Żartujesz sobie – droczyła się Tish, rzucając mu twarde spojrzenie, które mówiło, że dla niej wcale nie są to żarty.

– Niczego nie puszczam mimo uszu, mała – ostrzegł ze zgryźliwym uśmiechem. – Uważaj.

– A oni znowu swoje – westchnęła z ganku Nana Coleman, przyglądając się Russellowi i Tish. – Przyjechała raptem godzinę temu, a już się kłóca.

– Czterdzieści pięć minut – sprostowała Tish i śmiejąc się, podeszła do schodów, żeby uściskać filigranową brunetkę. Spojrzała w jej zielone oczy.

– Nana, jak się miewasz?

– Wyję z nudów – jęknęła, rzucając Russellowi prowokujące spojrzenie. – Wszyscy przystojni faceci są zajęci żniwami.

– Myślałem, że zrekompensowałem to przed żniwami – powiedział Russell głębokim, zmysłowym głosem i z uśmiechem patrzył Nanie w oczy, aż się zarumieniła.

Tish poczuła nagle pustkę i szybko zwróciła się do Eileen.

– Przywiozłam ci prezent znad morza – powiedziała z udaną swobodą, ale z ciężkim sercem. – Naszyjnik z koralami.

– Miałaś czas na zakupy? – zakpiła Eileen

– Na kilka minut uwolniłam się od Franka.

– Musisz mi o nim opowiedzieć – domagała się Nana, biorąc ją pod ramię. – Do tej pory nie zależało ci na mężczyznach, wygląda na to, że ten musi być kimś szczególnym.

– Russell, Nana nas odwiezie – krzyknęła Eileen zza pleców Tish. – Powiedz Mattie, że będziemy przed kolacją, dobrze?

– Dobrze, smarkulo – odpowiedział siostrze. Nana przystanęła i odwróciła się.

– Russ, w przyszłą sobotę robię przyjęcie na cześć Tish, takie małe spotkanie. Przyjdziesz?

Uniósł ciemną brew, ale oczy mu się śmiały.

– Może.

– Dla ciebie może by nie przyszedł – odezwała się Eileen do Nany – ale dla swojej małej przyjdzie – dodała, mrugając szelmowsko do Tish.

– Nie jestem niczyją małą – powiedziała cicho.

– Mam prawie dwadzieścia jeden lat, Eileen.

– Co za różnica – rzuciła Nana, korzystając z pięcioletniej przewagi.

– Ojcowska czułość nie liczy lat, prawda, Russell?

Przesunął oczami po jej twarzy tak, że aż się zaczerwieniła. Wszedł do dżipa.

– Przyjdiesz? – nalegała Nana.

– Być może. – Zawrócił auto i odjechał, nie oglądając się za siebie.

– Być może! – Nana wsparła ręce na biodrach i patrzyła za niknącym w tumanach pyłu autem. – Oto najbardziej nieznośny mężczyzna, jakiego stworzył Bóg! Kiedy ci się zdaje, że masz go w swojej małej dłoni, on ci się wymknie przez palce.

– Przecież wiesz – zakpiła Eileen. – Russell należy do Lisy i żadna kobieta nie ma z nią szans.

Tish chciała zapytać o Lisę, bo skądś znała to imię, jakby słyszała je wcześniej w Currie Hall, ale Nana ciągnęła swoje:

– ... nigdy nie był taki nerwowy – mówiła, gdy wchodziły do domu.

– Nie wiem, co mu się stało – westchnęła Eileen.

– Od kilku tygodni jest jak tygrys w klatce. Myślę, że chodzi o zbiory.

Ten rok jest dla farmerów paskudny.

– Mów dalej – ze śmiechem rzuciła Nana. – Powinnaś słyszeć ojca, jak czyta raporty gospodarcze. Ale nie mówmy o zbiorach. Chcę, żeby Tish opowiedziała o swojej podróży.

– A ja chcę, żeby opowiedziała o Franku Tylerze – rzekła Eileen, gdy już były w salonie, sadowiąc się obok Tish na wczesnoamerykańskiej kanapie. Nana poszła po mrożoną herbatę. – Czym się zajmuje?

– Jest inżynierem elektronikiem. Jego rodzina ma przedsiębiorstwo w branży elektronicznej, a on jest wiceprezesem.

– Fiu, fiu! – kpiąco rzuciła Eileen.

– Ale jest cudowny – protestowała Tish, zawiedziona reakcją przyrodniej siostry. – Dobrze wygląda. Jest utalentowany. Nie musi nawet pracować, ale to lubi.

– To tak jak Russell. Czternaście, czasem szesnaście godzin na dobę.

– Eileen, ja ich nie porównuję – odrzekła Tish znacząco. – Obie wiemy, że Russell jest jedyny w swoim rodzaju. Ale bardzo lubię Franka i myślę, że ty też go polubisz.

– Jeździ konno? – spytała Eileen.

– Nie wiem.

– Poluje, łowi ryby?

Tish chrząkała.

– Lena, w co się ubierzesz na przyjęcie u Nany? – spytała, by zmienić temat.

– Knebel, jeśli się nie zamknie – zażartowała Nana, niosąc tacę z trzema szklankami mrożonej herbaty.

– Amen – rzuciła Tish z uśmiechem. Wzięła szklankę i zaczęła łąpczywie pić. – Co masz przeciwko Frankowi? Przecież nawet go nie znasz. – Spojrzała na Eileen.

Dziewczyna skrzywiła się.

– Jest obcy.

– Na miłość boską, mówisz jak Russell – powiedziała Nana, kręcąc głową. – Chociaż był zażartym orędownikiem praw obywatelskich, zanim się rozpowszechniły, sam nie jest wolny od pewnych uprzedzeń.

– Ja też. Obcy to obcy. Przyjeżdżają, wykupują ziemię, jakby razem z nią kupowali dziedzictwo, i uważają, że jeśli mają jeden hektar, to mają prawo zmieniać otoczenie na swoją modłę – piekliła się Eileen.

– Słuchajcie głosu mądrości. – Tish zatkała sobie uszy. Uchyliła się, gdy Eileen udała, że chce w nią rzucić szklanką. – Lena, jesteś niemożliwa.

– Russ mówi, że to jest moje drugie imię – zgodziła się Eileen. – Och, Tish, spraw, żeby mi pozwolił pójść na przyjęcie z Gusem. Pozwoli, jeśli go poprosisz.

– Że jak?

– Gus Hamack. Pamiętasz go, miał rude włosy, nie miał dwóch zębów i przynosiłam mu do szkoły jabłko – przypominała jej Eileen. – Teraz ma wszystkie zęby, ponad metr osiemdziesiąt i jest fantastyczny! Studiuje inżynierię środowiska na uniwersytecie Jeremiaha Blakeleya, a Russ daje mu u nas pracę co drugi kwartał, żeby mógł opłacić studia. Proszę, Tish.

– Zobaczymy – odrzekła niepewnie. Na samą myśl, że znowu ma się zmierzyć z Russellem, zamierało jej serce.

– Włożę coś naprawdę seksownego – kontynuowała Eileen, jakby wszystko zostało ustalone. Pochyliła się do Tish z radosnym podnieceniem

w brązowych oczach. – Wrócimy do domu, to ci pokażę. Obcisła, niebieska i bez pleców. Założę na to szal i wyjdę z domu, zanim Russell każe mi się przebrać.

Pokonana Tish pokręciła ze śmiechem głową.

– Już wiem, czego najbardziej mi było brak. Późnym popołudniem Nana zawiozła Tish i Eileen

do Currie Hall. Chociaż wykręcały się brakiem apetytu, Mattie naszykowała jedną ze swoich gigantycznych kolacji. Tish włożyła do stołu zwykłą szmizjerkę, zwyczaj z dzieciństwa, ponieważ Russell nigdy nie pozwalał, by kobiety siedziały przy nim w spodniach. Mimo tej tresury, gdy usiadła obok Eileen i napotykała drwiące spojrzenie Russella, nadal drżała.

– Czy Dwight Haley już wyjechał? – spytała Eileen, kiedy zaczęli jeść.

Russell skinął głową.

– Musiał wrócić do Dallas. Kupił twojego byka, angusa – odpowiedział z uśmiechem na ustach.

– Big Bena? – jęknęła Eileen. – Rety, Russ, chowałam go od małego. To jedyny angus w całej okolicy. Wszyscy mają herefordy – narzekała.

– Dlatego już nie masz Big Bena – odrzekł spokojnie, popijając kawę. – Nie mogłem dłużej trzymać go w mojej hodowli, zbyt wielkie ryzyko.

Możesz za to opiekować się cielakiem hereforda.

– No pewnie, Russ, pozwalasz mi zajmować się cielakiem, aż osiągnie sto kilo. A pewnego dnia znajdę go na talerzu. To okrutne.

– Okrucieństwo bywa dobrocią, kotku – powiedział w roztargnieniu, zerkając na Tish, która szybko opuściła wzrok na piure z ziemniaków i pieczeń.

- A co ty byś powiedział, gdybym bez twojej wiedzy sprzedała jednego z twoich appsów? – marudziła Eileen.
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, za ile byś go sprzedała. – Wyszczерzył w uśmiechu zęby.
- Och, Russ – poddała się Eileen.

Tish przysłuchiwała się rozmowie rodzeństwa, smakując stek z cebulką. Przyjemnie jest patrzeć na Russella, myślała. Czy to jego aroganckie przechylenie głowy zawsze było tak urocze, i dlatego wcześniej nie spostrzegła, że czarne włosy kręca się lekko przy końcach, gdzie dotykają muskularnej szyi? Wędrowała wzrokiem po profilu, stanowczym, jakby wyrzeźbionym w ciemnej twarzy. Prosty nos, sterczące brwi, szczęki mocne i uparte...

Naraz odwrócił głowę, zmrużył skrzące się oczy i kiedy spostrzegł, że mu się przygląda, skrzywił się. Szybko spuściła wzrok na talerz, nienawidząc gorąca rozpalającego jej policzki.

Odsunęła nadal pełny talerz i wstała.

– Idę na chwilę na ganek – powiedziała, zanim ktokolwiek zdążył zapytać, dlaczego nie skończyła kolacji.

Prawie wybiegła, szukając schronienia na długim, szerokim ganku, ledwie świadoma tubalnego śmiechu za plecami.

Klapnęła na huśtawkę i odepchnęła się, słuchając dobiegającego z daleka szczekania psów łowieckich i cykających w pobliżu świerszczy. Od chwili, gdy ich oczy spotkały się, jej serce waliło jak młot. Skrzyżowała ręce na piersiach, czując nagły napływ słodkich wspomnień. Frank ma blond włosy, mówiła sobie, i niebieskie oczy, i jeśli zechcę, mogę go mieć.

– Tish! – zawołała Eileen, wdzierając się w jej samotność z gracją bomby atomowej.

– Tutaj, Lena!

Eileen z tupotem wybiegła z za rogu i usiadła na brzegu huśtawki.

– Russ wychodzi na zewnątrz – powiedziała szybko. – Nie zapomnisz spytać go o Gusa?

Poczuła, że krew jej uderza do głowy. Naraz pojęła, że wołałaby nie zostawać z nim sam na sam.

– Poczekaj ze mną – powiedziała. – Poprosimy go razem.

– Nie mogę. – Eileen wstała pośpiesznie. – Zjadłby mnie żywcem, gdyby się dowiedział, że cię prosiłam. Tish, proszę, kiedyś ci się odwdzięczę.

Poddała się. Nie umiała odmówić tym wielkim, czarnym, błagającym oczom.

– Dobrze, zapytam go.

Eileen pochyliła się i uściskała ją.

– Jesteś najlepszą siostrą, jaką można sobie wymarzyć, mimo że przyrodnią. Dzięki!

Odwróciła się i pomknęła w stronę drzwi, prawie zderzając się z Russellem.

– O rety, Russ, musisz prześladować ludzi? – krzyknęła. – Jesteś wielki jak dom!

– Zostały dwa kawałki szarlotki. – Głos miał niski, powolny. – Eileen też to dotyczy.

– Swój kawałek już zjadłam – zaprotestowała.

– Idę do swojego pokoju. Jutro mam szkołę, a jeszcze nie odrobiłam lekcji.

– Żadnej telewizji, póki nie skończysz – krzyknął za nią.

– Rozkaz! – odkrzyknęła zawadiacko i dała nogę.

Russell opuścił swoje wielkie ciało na siedzenie huśtawki, oparł się wygodnie i zapalił papierosa. Był z dala od okna i Tish widziała tylko żarzący się tytoń. Jej oczy z wolna przyzwyczajały się do ciemności.

– Odpowiedź brzmi: nie – rzucił.

– Ale co: nie. – Miała nadzieję, że powiedziała to spokojnie.

– Cokolwiek, o co miałaś mnie prosić dla Leny. Na pewno chodzi o Gusa. – Wprawił huśtawkę w ruch.

– Ona chce iść z nim na przyjęcie do Nany. Obiecałam jej, że cię zapytam.

– Ale mnie nie zapytałaś. Zapytałaś, mała? – dopytywał się uszczypliwie. – Wolałabyś utonąć, niż poprosić mnie o kamizelkę ratunkową.

– Oboje wiemy, że rzuciłbyś mi kotwicę – odparowała, odpychając niecierpliwie huśtawkę jedną nogą.

– Do diabła, dobrze wiesz, że bez namysłu rzuciłbym się za tobą. – Westchnął. Poczula dym, jakby w ciemnościach dmuchnął w jej stronę. – Tish, dzisiaj po południu nie chciałem, byśmy sobie skakali do oczu. To, co powiedziałem, było raczej ostrzeżeniem, niż wypowiedzeniem wojny. Będziesz tu tylko dwa miesiące. Chciałbym ci je umilić najbardziej, jak potrafię.

To były przeprosiny. A przynajmniej, poprawiła się, nigdy nie był tego tak blisko. Oskarżał ją, że jest dumna, ale to on był chodzącą dumą.

– Cokolwiek to znaczy, Russell – zaczęła cicho – nie znam się na uwodzeniu mężczyzn. I naprawdę nie flirtowałam. Ja... ja myślałam, że to były żarty, tak jak wtedy, kiedy byłam mała. Pamiętasz? Wtedy, zeszłego lata też, ja nie...

– Tish, jesteś aż tak naiwna? – Nagle spoważniał.

– Dwa lata na północnym uniwersytecie, randki z różnymi facetami...

– Z nikim nie chodziłam, z wyjątkiem Franka oczywiście. Wiem, czego dzisiaj mężczyźni chcą od kobiety, ale ja nie mogę... nie chcę... Frank o nic nie prosił... – mówiła coraz bardziej zażenowana.

– Chcesz powiedzieć, choć kiepsko ci to wychodzi, że nadal jesteś dziewicą? – zapytał cicho.

– Nie twój interes! – Głos miała ostry, ponieważ wstydziła się.

– Owszem, to mój interes, i to bardziej niż ci się zdaje. – Jego głos brzmiał w ciemnościach głęboko i spokojnie. Kanapa huśtawki zaskrzypiała pod jego ciężarem. – Czy on się z tobą kochał?

– Jeżeli masz zamiar mnie obrażać, wracam do środka... – Podniosła się.

– Obrażać? – Nie wierzył własnym uszom. – Mój Boże, czy to ja natchnąłem cię tą świątobliwością? Jeśli tak, to błagam o wybaczenie. Chodziło mi raczej o twoje zdrowe nastawienie do seksu. Cała się zaczerwieniła.

– Russell!

Cichy ironiczny śmiech zmieszał się z odległymi odgłosami pól.

– Święta Joanno, sukni pokutnej jeno ci trzeba. Przełknęła drwinę. Usta jej drżały od niedorzecznej złości.

– Czego się spodziewałaś, Russell? Że córka prostego dzierżawcy puści się, jak to zwykle bywa, i zajdzie w ciążę?

– Zamknij się, do cholery!

Zesztywniała. Tak groźnego tonu w jego głosie nie słyszała od dawna. Z oczu bezgłośnie pociekły jej łzy.

– Na Boga, pewnego dnia tak mnie sprowokujesz, że posunę się za daleko – powiedział stłumionym głosem.

Zacisnęła powieki, żeby nie widzieć nawet jego cienia. Niemal słyszała bicie swojego serca. Znowu była małą dziewczynką, która kuli się przed nim ze strachu jak zbity pies.

– Dąszasz się znowu, mała dziewczynko? – spytał szorstko.

Bez słowa wstała z huśtawki i minęła go wolno, na oślep. Zimne łzy ciekły jej po policzkach i zbierały się w kącikach ust.

Poczuła na nadgarstku jego wielką rękę, ale nawet nie spojrzała.

– Tish... – wypowiedział zdrobienie niemal z czułością, bez śladu złości.

– Co? – wykrztusiła butnie.

Nagle puścił jej nadgarstek. Schwycił ją szczupłymi, silnymi palcami za biodra i bezceremonialnie posadził ją sobie na twardych udach. Jedną ręką mocno ją przytrzymał, a drugą uniósł jej brodę do swoich połyskujących oczu. Bezlitosne palce przesuwiał po strużkach łez na gładkich policzkach, aż do miękkich, nadaśanych ust.

– Nigdy – mówił cicho, z namaszczeniem – przenigdy tak do mnie nie mów. Rozumiesz, Tish?

Nie rozumiała, ale wolała skinąć, niż ryzykować kolejny atak. Nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego. Nie rozumiała, co takiego powiedziała, że aż tak się rozzłościł. Załkała, cała roztrzęsiona.

Przyciskał jej głowę do ramienia i patrzył na nią. Ledwie widziała jego oczy, za to czuła na sobie wzrok Russela, jakby jej dotykał. Przy boku zaś czuła uderzenia jego serca, mocne i pewne. Jego pierś wznosiła się i opadała. Sama tkwiła znieruchomiała, nie śmiejąc nawet oddychać. Męska ręka przy jej zimnej twarzy była ciepła i dziwnie przyjemna. Na czole czuła jego oddech, zapach tytoniu i wody kolońskiej. Ta bliskość dziwnie ją osłabiała i Tish mimo woli wracała pamięcią do wieczności tamtej chwili, w domu przy plaży.

Zesztywniała, znowu czując złość, furię i ból, które jej zadawał.

On zaś gładził palcami ślady łez na jej policzkach, biegnące od oczu do ust.

– Jesteś jak sparaliżowana – mówił cicho. – Nie zamierzam cię krzywdzić.

– Proszę, puść mnie – wyszeptała.

– Nie obawiaj się mnie – odrzekł głosem tak miękkim i zmysłowym, jak wcześniej okrutnym. – Trzymałem cię tak na kolanach, kiedy miałaś ledwie osiem lat. Wsłuchiwałeś się w odległe szczekania psów na polach, rozmawialiśmy o łowieniu ryb. Pamiętasz?

Jej napięte mięśnie rozluźniły się nieco.

– Wtedy tak na mnie nie krzyczałeś – powiedziała z wyrzutem.

Musnął ustami jej czoło.

– Bo nie wyprowadzałaś mnie tak często z równowagi. Rozluźnij się, na miłość Boską, czuję tylko same kości!

– Nic nie poradzę, że jestem chuda...

– Tutaj – burknął, przesuwając ją tak, że głowa Tish i piersi spoczęły na jego ciepłej, szerokiej klatce piersiowej, jednocześnie obejmując ramieniem jej plecy. – Nic, tylko łokcie i kolana.

Przytuliła się do miękkiej, bawełnianej koszuli. Jego zapach i dotyk były jej dziwnie znajome. Duży, ciepły i dający poczucie bezpieczeństwa, w chłodzie wieczoru, w ciszy nocy i ciemnościach. Z nikim nie czuła się tak bezpieczna jak z nim. Wystarczało, by wiedziała, że jest w domu, a zasypiała spokojnie nawet w największych ciemnościach.

– Sprawiasz, że czuję się taka bezpieczna... – wyszeptała sennie.

Zaśmiał się tuż przy jej uchu.

– Gdybyś była o kilka lat starsza, byłoby to twoje ostatnie przymilanie się do mnie – stwierdził.

– Dlaczego? – spytała niewinnie.

– Masz zamiar spać?

– Mogłabym. Jesteś taki ciepły, Russell.

– To się nie nazywa ciepłem. – Mocniej ją przytulił. – Opowiedz mi o Tylerze i o płazy. Co robiliście?

– Pływaliśmy, rozmawialiśmy, słuchaliśmy jego matki, graliśmy w szachy, słuchaliśmy jego matki, chodziliśmy po sklepach, słuchaliśmy...

– ... jego matki – zachichotał. – To w jej stylu. Aż tak zaborcza?

– Bardzo. A także bardzo zarozumiała. Kiedy dowiedziała się, że jestem „z tych” Currie, stawiała na głowie, żeby spiknąć mnie z Frankiem. Dlatego zostałam zaproszona na wybrzeże.

– Ty? – spytał posepnie. – Czy twoje nazwisko? Czy ona wie... ?

– Nie! – odpowiedziała natychmiast. – I jeśli... !

– Możesz się zamknąć? – rzucił niecierpliwie. – Mój Boże, nie po to przywiozłem cię do domu, żeby przez całe dwa miesiące się z tobą kłócić.

– A dlaczego mnie przywiozłeś? – spytała, wypatrując w ciemnościach jego oczu. – Naprawdę z powodu Eileen?

Palcem lekko dotknął jej ust.

– A może tęskniłem do ciebie, smarkulo?

– Też do ciebie tęskniłam, Russ – przyznała otwarcie.

Przyciągnął ją mocniej, kołysząc w ramionach, zanurzwszy twarz w jej włosach. Dziwiło ją to, co odczuwała w całym ciele. Niejasne pragnienie, niespokojne pożądanie, wszystko to sprawiało, że jej młoda krew burzyła się. Wbijiała w niego krótkie, ostre paznokcie, czując, że przygarnia ją do swojego twardego ciała coraz bardziej i coraz mocniej, aż poczuła jego żebra, a uścisk nie był już tak delikatny i czuły, ale otwarcie i głęboko nienasycony.

– Tish, jesteś tam? – Słodką, oszłamiającą ciszę przerwał głos Eileen.

Russell westchnął i rozluźnił odurzający uścisk.

– Jesteśmy tutaj, Lena! – krzyknął. – O co chodzi?

Podeszła w ich stronę, kierując się głosem i stanęła, widząc na kanapce huśtawki dwie ciemne sylwetki.

– Rany Julek – mruknęła szelmowsko. – Czy to nie urocze? Russell i jego mała...

– Uśnij tylko, a wrzucę cię do lodowatej wody – zagroziła jej Tish. Natychmiast wstała, pozwalając, by jej poczucie humoru rozgoniło na cztery wiatry wszystkie niespełnione pragnienia, które rozbudził w niej Russell. –

Przygwożdżę twoje buty do podłogi! Zobaczysz... ! – Rzuciła się w stronę chichoczącej, czmychającej nastolatki i śmiejąc się, pobiegly do domu.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Tydzień poprzedzający przyjęcie u Nany Coleman minął jej jak we śnie na herbatkach, odwiedzinach i schodzeniu Russellowi z drogi. Nawet nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego to było takie ważne, że w jego obecności stawała się milcząca i zawstydzona. Co gorsza, wystarczyło, że tylko na nią spojrzął, a już oblewała się pąsem, dla niego tymczasem była to, jak się zdaje, świetna rozrywka. Na przykład śniadania stały się dla Tish istnym piekłem.

– Jedna dziewczyna, którą poznałam w szkole, wychodzi w przyszłym miesiącu za mąż – oznajmiła pewnego ranka Eileen znad bekonu, jajek i chrupiących bułeczek. – Po maturze dostała pracę w biurze i wychodzi za pana Jamesona, nauczyciela fizyki.

– Musi być sporo starszy od tej twojej przyjaciółki, jak przypuszczam – powiedziała Tish, wbijając wzrok w swój talerz z jajecznicą.

– Och, tak, to starzec – odpowiedziała Eileen, rozwlekając niemiłosiernie słowa. – Ma dwadzieścia osiem lat.

– Dwadzieścia osiem? – spytała Tish, udając przerażoną i zerkając złośliwie na Russella, który rozparł się wygodnie w krześle. – O mój Boże, już prawie dojrzał do założenia rodziny!

Russell utkwiał ciemny wzrok w tym ponętym fragmencie Tish, który był widoczny ponad stołem. Patrzył tak bezczelnie intensywnie, że krew napłynęła jej do twarzy. Pochwycił jej spojrzenie, nie odwrócił jednak oczu. Było w nich coś nowego, niespotykana dotąd zmysłowość, a nawet drapieżność, co przyprawiło ją o dreszcz.

- Młodość ma swoje zalety, mała – powiedział z drwiącym uśmiechem – ale ja jestem przeciwny uwodzeniu nieletnich.
- Gdybyś zobaczył ich razem, nie powiedziałbyś, że jest nieletnia – stwierdziła w zamyśleniu Eileen.
- Jest bardzo dojrzała.
- Rzadka to cecha u nastolatek – skomentował Russel, kończąc kawę.
- Ona ma dziewiętnaście lat – oponowała Eileen. – Właściwie już nie jest nastolatką.
- Dojrzałość zależy od osoby, a nie wieku. – Zaciągnął się głęboko, odstawił filiżankę na spodek i oparł się wygodnie, patrząc w zamyśleniu na Tish. – Tish jest prawie o dwa lata starsza od twojej przyjaciółki, ale stawiam mojego nagradzanego byka hereforda, że nawet nie wie, jak się całować.
- Poczerwieniała jak burak, kiedy dwie pary brązowych oczu przyglądały jej się tak uważnie, jakby była nadzwyczajnie ciekawym okazem bakterii pod mikroskopem.
- Tish, ty nie wiesz, jak się całować?! – zdumiała się Eileen.
- Pewnie, że wiem! – prychnęła i rzuciła Russellowi bardzo wymowne spojrzenie.
- Ojej! Lecę, bo się spóźnię! – wrzasnęła Eileen, patrząc na zegarek. Wytarła usta w lnianą serwetkę, zostawiając na niej czerwone ślady szminki.
- Cześć!
- Nie przekraczaj osiemdziesiątki – krzyknął za nią Russell.
- W volkswagenie tyle nie wyciągnę. Zwłaszcza w moim volkswagenie!

– Zrozumiałem – przyznał, chichocząc, a Tish nie mogła się nie uśmiechnąć, wyobrażając sobie Eileen w żółtej, zdezelowanej pluskwie.

– Jak ona zdołała cię namówić na to auto? – zaciekawiała się.

– Ech... – Westchnął ciężko. – To było w targowy piątek.

Ładowałem na przyczepę sześć jałówek. Podeszła mnie, cholera by to wzięła. Miała w ręku moją książeczkę czekową, a ja podpisałem czek. I okazało się, że jestem współwłaścicielem żółtego volkswagena z sześćdziesiątego piątego roku. Przynajmniej – dodał ponuro – tak jest w papierach. Bardziej przypomina kosiarkę z wielkimi kołami.

– Założę się, że mało pali.

– Tak samo jak autobus szkolny, którym jeździłaś.

– Tylko dlatego, że nie umiałam cię podejść tak jak Eileen. I bałam się, że będziesz się wściekać. Nadal się tego boję – mruknęła, spuszczać oczy.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził, kochanie – powiedział łagodnie.

– Wiem.

Zapadło długie milczenie. Zgasił papierosa, podniósł się, stanął za jej krzesłem i nachylił się nad nią tak nisko, że puls jej przyśpieszył. Czowała na ustach jego oddech.

– Powiedziałaś Eileen, że umiesz się całować – powiedział niskim, gardłowym głosem. – Udowodnij.

– Nie! – szepnęła rozpaczliwie i zaczerwieniła się, kiedy napotkała jego ciemne, rozbawione oczy.

– Boisz się, Tish? – Przesunął zmysłowo kciukiem po jej dolnej wardze.

– Tak! Nie! Och, Russell... ! – jęczała zirytowana. Zaśmiał się lekko i odsunął.

– Tchórz. Tym razem bym cię nie skrzywdził.

Te słowa były dla niej tak upokarzające, jakby celowo przypominał jej o tamtym dniu, kiedy zeszłego lata poczuła jego wściekłe, twarde usta i bolesny uścisk jego ramion.

– Wolałabym, żebyś sobie ze mnie nie żartował – powiedziała cicho.

– Uważasz, że żartuję? – Uniósł jej twarz do swojej. Jego ciemne oczy wytrącały ją z równowagi.

– Jesteś bardzo młoda, panienko Peacock.

Ścisnęła w rękach serwetkę, jakby to była kamizelka ratunkowa. Jego bliskość przyprawiała ją o drżenie, ale raczej wolałaby umrzeć, niż pozwolić, by to zobaczył.

– Myślę, że wy, starsi, lubicie towarzystwo wesołej młodzieży – odpowiedziała wymijająco. – Wiesz, żeby poczuć się młodziej.

Wsunął dłoń pod jej miękkie włosy i zaczął głaskać ją po karku. Jego usta znalazły się tuż przy jej ustach, tak że prawie ich dotykały. Serce Tish biło jak oszalały werbel.

– Jestem stary? – drwił z niej, szepcząc tak blisko jej ust, że ciepły oddech owiewał wargi Tish.

– Russ? – szepnęła, tracąc oddech. Oszołomiona spojrzała mu w oczy miękko, jak nigdy, przez łzy.

Naraz jego dłoń znieruchomiała i na moment zacisnęła się na jej karku. Natychmiast jednak puścił ją i wyprostował się.

– Kiedy skończysz, idź do zagrody Smitha – powiedział. – Dostałem kilka cieląt, którymi możesz się zająć.

- Cielęta?
- Cztery. Same jerseye.
- Och, Russel, pozwolisz mi?
- Jasne. Grover cię zawiezie. I powiedz mu, żeby pokazał ci także

nowego ogiera appaloosa.

Zdziwiła się, że nagle poczuła rozczarowanie i... pustkę, ponieważ Russell nie jechał z nią, żeby obejrzeć cielaki.

– Kiedyś pozwalałeś mi nadawać tym maleństwom imiona, zanim dowiedziałam się, czym jest cielęcina.

– Tak, a także zawoziłem cię do nich. – Przyglądał jej się zmrużonymi oczami. – Muszę cię teraz trzymać na dystans, kochanie. Nie ma w tym przyszłości.

– W czym? – zaciekawiała się.

– Nieważne. Mam sporo roboty.

Patrzyła, jak odchodzi, w niej tymczasem od emocji aż kipiało. Z jakiegoś powodu chciało jej się płakać.

Po incydencie przy śniadaniu Tish przezornie odczekiwała w swoim pokoju, dopóki nie usłyszała, że Russell wychodził z domu. Dokładała też wszelkich starań, żeby trzymać się z dala od stołu podczas kolacji. Wieczorami odwiedzała dawnych przyjaciół, wliczając w to Nanę, i tym sposobem unikała wspólnych posiłków w domu. Jeżeli Russell domyślał się, że robiła tak celowo, to nie dawał tego po sobie poznać. Przygnębiało ją jednak, że po nim nigdy niczego nie było widać. Dobrze by było mieć już Franka przy sobie. Do przyjazdu jego i Belle pozostał ledwie tydzień, ale cieszyła się, że ich zobaczy tylko początkowo, dopóki nie przypomniała

sobie, jak Belle leciała na Russella. Wyobraziła ją sobie w Currie Hall i straciła humor mimo entuzjazmu dla cielaczków i czystej krwi appaloosa.

W dniu przyjęcia na cześć jej powrotu do domu wiozła na pola skrzynkę piwa, nie rozumiejąc za bardzo motywów, którymi się kierowała, ale przekonując samą siebie, że obojętność Russella nic z tym nie ma wspólnego. Dawno temu, gdy była mała, taszczyła w skwarze na zabronowane czarnoziemy dzbanki mrożonej herbaty. I pamiętała uradowane miny Bakera i jego syna, opalone i spocone twarze, kiedy chłodzili się złocistym napojem. Podobnie było, gdy Russell przejął ogromny obowiązek nadzorowania tysięcy hektarów ziemi należącej do farmy i doglądania rodzinnej hodowli bydła. Nieraz widywała go ociekającego potem, gdy od wschodu do zachodu słońca pracował w polu. Jednak gdy Baker posłał ją do szkoły, te wspomnienia zbladły. Od dawna nie widziała obnażonych do pasa mężczyzn harujących przy sianokosach.

Teraz miała takie wrażenie, jakby czas się cofnął. Siedziała sobie spokojnie w mercedesie, słońce padało na pracujących przy kombajnach, z których wypadały snopy zielono– brązowego siana. Rozglądała się po rozległych łąkach, wchłaniała w nozdrza słodki zapach świeżego siana i czuła przejmującą tęsknotę. Porównując w myślach piękno tej ziemi z betonem i brudem ulic Nowego Jorku, zastanawiała się z roztargnieniem, jak w ogóle mogła sobie wyobrazić, że jakiegokolwiek porównanie ma sens. Russell nazwał ją dziewczyną ze wsi i, co dość ją dziwiło, trafił w sedno, choć przez całe lata udawała przed sobą, że wcale tak nie jest.

Gdy się rozglądała, Russell zauważył samochód i zręcznie zeskoczył z wielkiej ciężarówki, na którą wrzucano snopy siana. Jego zwinność, niezwykajna u tak wysokich mężczyzn, zachwycała ją. Ruszył ku niej,

wołając coś do ludzi ubranych w dżinsowe kombinezony i krzątających się wokół ciężarówki.

Zbliżał się do niej, a ona wpatrywała się w niego z nowym przyływem czułości w oczach, podziwiając wspaniałą muskulaturę. Był bez koszuli, z wyeksponowaną, na brąz opaloną szeroką klatką piersiową, z gęstym owłosieniem niknącym pod kłamrą paska. Całe swoje życie widywała go bez koszuli... tym razem jednak ów widok dziwnie na nią działał. Nie mogąc oderwać od niego oczu, zdenerwowana otworzyła drzwi auta i ruszyła w stronę Russella.

Zdjął stetsona z szerokim rondem, otarł przedramieniem czoło, strącając kropelki potu z gęstych brwi, i uśmiechnął się do niej.

– Jeśli przyjechałaś tu do pomocy – powiedział zamyślonym głosem, z ciemnymi oczami wlepionymi w jej sukienkę z cienkiego materiału w czerwono–białe wzory – powinnaś była włożyć coś bardziej odpowiedniego.

Potrząsnęła długimi, czarnymi włosami i uśmiechnęła się.

– Przepraszam, ale Baker nie wychowywał mnie na farmera.

Pochylił głowę, żeby zapalić papierosa.

– To po co przyjechałaś? – Spojrzał na nią i zwięził oczy w szparki, gdy napotkał jej wzrok.

Wzruszyła ramionami.

– Przywiozłam skrzynkę piwa.

– Piwa? – Uniósł w zdziwieniu brew.

Spodziewała się tego.

– Wiem, że dla ciebie picie czegoś słabszego od burbona to zwykłe świętokradztwo, ale piwo jest zimne i mokre, a ty wyglądasz, jakby chciało ci się pić. Jesteś spocony.

– Jak to w pracy – powiedział cicho, patrząc jej w oczy. – Tylera topiącego się we własnym pocie nie zobaczysz nigdy.

– Znowu zaczynasz? W takim razie postawię tę skrzynkę piwa na ziemi i tym mercedesem dokładnie ją rozjadę.

– Zrób to, a sam cię tym mercedesem dokładnie rozjadę – odparował ze śmiechem. – Hej, Jack! – krzyknął w stronę jednego ze smukłych, młodych mężczyzn, który szedł za ciężarówką i wrzucał na nią snopy siana.

– Tak, szefie?

– Macie tu skrzynkę piwa. Weź ją i zanieś chłopakom – polecił mu Russell, gdy podszedł do nich.

– Dziesięć minut przerwy. I nie podoba mi się, co tam widzę. – Wskazał coraz liczniej gromadzące się czarne chmury.

– Jasna sprawa. Dzięki! – Ucieszony robotnik wyjął skrzynkę z auta, wrzasnął: – Piwo! – i zaniósł ją do cienia.

Rozległy się gardłowe okrzyki entuzjazmu. Pracownicy zostawili maszyny na słońcu i pośpieszyli pod cieniste drzewo.

Russell roześmiał się, widząc u nich nagły przypływ energii.

– Dzieciaki – rzucił pogodnie. – Większość z nich ma żony i rodziny, ale tak czy owak to zgraja chłopaków.

– Czego nie można powiedzieć o tobie – zauważyła od niechcienia. – Ty nie chcesz piwa?

Spojrzał na nią spokojnym, opanowanym wzrokiem, kryjącym nie wiedzieć co.

– Wolałby raczej małą, bosonogą dziewczynkę z dzbankiem mrożonej herbaty.

Popatrzyła na swoje stopy.

– Gdybym pomyślała o tym wcześniej, na pewno bym ci przywiozła. Widać, że jest ci gorąco, Russell.

– Unikasz mnie, Tish. Dlaczego?

Pogładziła niewidoczną plamkę na idealnie czystej sukience, byle by tylko nie patrzeć na jego szeroką pierś, której tak bardzo pragnęła dotknąć.

– Zdawało mi się, że jest odwrotnie.

– Może i tak. Jestem cholernie zapracowany.

– Wiem. – Spojrzała na niego, na ostre rysy spoconej twarzy. – Nie gniewasz się na mnie, że zaprosiłam Franka i Belle?

Zachmurzył się.

– Czym to zostało spowodowane? – spytał cicho.

– Nie chcę, żebyś się gniewał. Chcę, żeby między nami było jak kiedyś. – Spojrzała na niego błagalnie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– To niemożliwe. – Pogładził krnąbrny kosmyk jej włosów. – Twoje ósme urodziny były bardzo dawno temu, dziewczynko.

– Co to ma do rzeczy. – Próbowwała się uśmiechnąć. – Przecież ciągle jestem twoją małą, prawda?

Zapadło między nimi pełne napięcia milczenie. Ciężko oddychając, ujął ją za włosy przy karku, odchylił jej głowę do tyłu i wpił w nią ciemne, błyszczące oczy.

– Co przez to rozumiesz? – spytał. Wystraszyła się. I jego niespodziewaną, nedorzeczną złością i tym, że ją tak mocno, tak karcąco

trzymał za włosy. Prawie się rozplakała, usta jej drżały, ale spojrzała na niego wyzywająco.

– Jesteś... strasznym despotą! – wykrztusiła.

– Z tobą nawet nie można żartować! Wszystko, co mówię, traktujesz ze śmiertelną powagą. W porządku, w ogóle nie będę z tobą rozmawiać i zobaczymy, jak się będziesz czuł!

– Tak będzie bezpieczniej – stwierdził beznamiętnie. Oczy zwięzły mu się jeszcze bardziej niż zwykle.

– Ty przekłety, mały głuptasie, nie widzisz różnicy między żartem a prowokacją?

– Prowokacją?! Czyli teraz próbuję cię uwieść?

Zdawało się, że złość go opuściła, a w oczach pojawiło się rozbawienie.

– Wątpię, czy wiedziałabyś, jak się zabrać do tego – powiedział łagodnie.

Zacisnęła zęby, wściekła na jego bezczelność.

– Frank mógłby się z tobą nie zgodzić – odcięła się ze złością.

– Uważaj, maleńka, dobrze ci radzę – ostrzegł ją głosem pozornie spokojnym, jednak słychać w nim było tłumiony gniew.

– Bo sobie kolana podrapię albo nasypię piasku do oka? Dla ciebie mam ciągle osiem lat, ale dla innych mężczyzn niekoniecznie, Russell. Jestem dorosła. Już się nie bawię babkami z piasku ani nie rzucam kamieniami... Żałuję, że w ogóle... ty... zimnokrwisty... ! – Zakrztusiła się, załkała. Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Ty mała, cholerna głuptasko. – Ujął ją stwardniałymi dłońmi za policzki, pochylił się i zaczął całować załzawione oczy, scałowywać łązy z powiek tak czule, że dech jej zapało.

– Ru... Russ? – wyszeptała zaszokowana. Przesunęła drżącymi dłońmi po gęstych włosach na jego twardej piersi, czując bicie serca i chłodny pot.

– Nic nie mów – mruknął gardłowo i odchylił się, żeby na nią spojrzeć. Nagle niebo pociemniało i rozległ się złowrogi grzmot, ale prawdziwa burza rozpętała się w jego oczach, lśniących, szalonych i groźnych. Nie zważając na przecinającą horyzont oślepiającą, rozwidloną błyskawicę i przesywający powietrze trzask, pochylił się do jej drżących ust i zmysłowo szczypał zębami pełną, dolną wargę. – Otwórz usta – warknął ochryple, wpijając palce w jej głowę. – Pokaż mi, jaka jesteś dorosła, Tish.

– Russell... – wykrztusiła, dusząc się własnym oddechem, drżąc na całym ciele pod wpływem przyjemności, którą jej sprawiały jego nieustępliwe usta.

– Burza...

– Jest we mnie – szeptał z ustami tuż przy jej ustach – i w tobie. Spragniona, słodka i dzika. Nic nie mów. Całuj mnie...

Otoczył jej usta swymi, rozchylając wargi z tak palącym pragnieniem, że zapierało jej dech w piersi. Przesunął dłoń z karku w dół, przyciągając Tish całym ciałem do siebie z taką znajomością rzeczy, że ani myślała się opierać. Nawet gdy dotknął językiem jej miękkich, uległych ust, nawet gdy zdawało jej się, że przyciskając ją do siebie twardym ramieniem, złamie ją.

Po raz pierwszy smakowała męskiej namiętności i wystraszyła się. Tamten pocałunek był jak kara, ale ten był jak koniec świata. Uniosła ręce do jego szyi, gdy nagle zeszywniał i odepchnął ją tak przejmująco pogardliwie, że znowu oczy zaszczyły jej łzami.

– Byłaś moja, kiedy miałaś osiem lat – powiedział, ciężko dysząc. – Uczyłem cię konnej jazdy, polowania, łowienia ryb i pływania. Kiedy podrosłaś, nauczyłem cię, jak masz sobie radzić na randkach, jak się prowadzi samochód, i cieszę się, że spędziliśmy te lata razem. Ale to już przeszłość. Nadszedł czas, by zamknąć za nią drzwi. Mam piekielnie gorącą krew, Tish. Dłużej już na tego rodzaju żarty nie mogę nie reagować. Przed chwilą miałaś przykład tego, co może się między nami wydarzyć, jeżeli nadal będziesz mnie prowokować. To nie są żarty. Jestem starszy, mądrzejszy i od cholery bardziej doświadczony niż ty. Wziąłem twoje usta i pozwoliłaś mi na to. Pamiętaj, że równie łatwo mógłbym wziąć cię całą. A teraz zmykaj stąd.

Wstrząśnięta i do żywego dotknięta jego słowami, odwróciła się, wsiadała do samochodu, zatrzasnęła drzwi i nie zważając na odskakującego na bok Russella, wycofała auto na drogę. Kiedy ruszyła w stronę miasta, nawet za nią nie spojrział.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Krażyła po sklepie z sukienkami jak ogłuszona. Przejęta nowym, zapierającym dech w piersiach doświadczeniem, ledwie widziała sprzedawczynię. W końcu wybrała długą, białą suknię, która leżała na niej jak druga skóra, z niskim dekoltem o włos od nieskromności.

Kiedy wróciła do domu, krażyła po swoim pokoju, zastanawiając się, czy w ogóle ma pójść na to przyjęcie. Perspektywa ponownego ujżenia Russella coraz bardziej ją przerażała. Wspomnienie pocałunku nadal było zbyt żywe i za każdym razem, kiedy o tym myślała, puls jej przyśpieszał. Objawiło się w niej niepojęte dzikie pragnienie. Stało się to tak nieoczekiwanie, że aż się zastanawiała, czy wciąż jest tą samą bierną młodą kobietą, która tydzień temu wróciła do domu. Nie pojmowała, co się stało z jej życiem. Zmieniło się tak nagle, że sobie z tym nie radziła.

– Tish, jesteś gotowa? – zawołała Eileen, wpadając bez pukania do jej pokoju.

W wydekoltowanej, zwiewnej, niebieskiej, wieczorowej sukience, cudownie podkreślającej jej karnację, wyglądała na znacznie więcej niż siedemnaście lat.

– Chyba nie zamierzasz pójść w tym? – spytała zaskoczona, gapiąc się na zwykłą, czerwono–białą sukienkę Tish.

– Lena, ja... – przygryzła wargi – nie wiem, czy w ogóle pójdę...

– Musisz! Przecież to przyjęcie na twoją cześć!

Odgłosy z korytarza odwróciły jej uwagę od błagalnych spojrzeń Eileen i napotkała mroczny, nieodgadniony wzrok Russella.

– Oczywiście, że pójdziesz – powiedział, stając w drzwiach. W rozpiętej koszuli, w poplamionych trawą spodniach, z mokrymi od potu, czarnymi włosami.

Wyprostowała się dumnie.

– Raczej nie pójde – zaprotestowała.

– Jeżeli nie pójdziesz – powiedział cicho – to Gus i Eileen też nie. Jadą razem z nami.

Pod jego natarczywym spojrzeniem szybko spuściła oczy.

– Zaraz się przebiorę – odpowiedziała pokonana.

– Tish, co się dzieje? – spytała ciepło Eileen. – Wyglądasz na przygnębioną.

– Lena, jestem po prostu zmęczona – odpowiedziała jej z wymuszonym uśmiechem. – Wyjdźcie i dajcie mi się ubrać.

Eileen uśmiechnęła się, żeby dodać jej otuchy, i wyszła, ale Russell zatrzymał się w drzwiach i niespokojnie jej się przyglądał.

– Masz kwadrans, kochanie. Już jesteśmy spóźnieni – rzucił od niechcienia.

– W porządku – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Mowę ci odjęło, jęzdo? – beształ ją z rozmysłem.

Zmierzyła go wzburzonymi, poszarzałymi z gniewu oczami.

Tylko się uśmiechnął i odwzajemnił bezczelnie wyzywającym spojrzeniem.

– Gdybyś, święta Joanno, była o kilka lat starsza – rzucił ostrzegawczo – pociągnąłbym wczorajszą lekcję trochę dalej. Musisz się jeszcze cholernie dużo nauczyć.

– Wątpię, czy chciałabym się uczyć tego od ciebie – odcięła się. – Jesteś za bardzo brutalny.

– Jak większość mężczyzn w takiej sytuacji – odparł zimno. – Nie myślałem, że dla dziewczycy doświadczenie męskiej namiętności może być tak trudne. Nic ci nie groziło, ale nie próbuj tego z kimś młodszym.

– Ja... w ogóle nie chcę znowu tego próbować – powiedziała, odwracając się do niego tyłem.

– Zechcesz. Ubierz się, kochanie.

Odwróciła się, by mu odpowiedzieć, że potrafi się ubierać bez poganiania, ale już go nie było.

Ubrała się, nałożyła dyskretny makijaż i rozczesała długie, czarne włosy. Czowała się jak owca idąca na rzeź. Była zdenerwowana, czuła tremę i nie cierpiała tego, ponieważ traciła swoją zwykłą pewność siebie, którą miała w towarzystwie Franka. Gdyby wreszcie tu się zjawił, myślała żałośnie, mógłby ją ochronić. Ale przed czym... ?

Wzięła z szafy biały, szydełkowy szal, owinęła nim gołe ramiona i zeszła na dół. Eileen i Russell czekali na nią w przedpokoju. On miał na sobie biały garnitur świetnie współgrający z ciemną karnacją i obcisłą, rdzawą koszulę, opiętą na muskularnej klatce piersiowej niczym druga skóra. Gdy przyglądał się Tish, jak schodziła po schodach, czuła się, jakby po jej żyłach spłynęła błyskawica. Powoli przesuwiał wzrokiem po jej ciele z zuchwałością, która ją ekscytowała i pochlebiała jej. Zatrzymał się na jej twarzy, a na jego zdecydowanych ustach pojawił się drwiący uśmiezek.

– Och, suknia jak marzenie! – Eileen zatkało. – Gdzie ją znalazłaś?

– W mieście – odparła Tish, unikając wzroku Russella.

Przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek i Eileen, nie zważając na Joby'ego, który zamierzał je otworzyć, minęła go niczym trąba powietrzna, krzycząc przez ramię:

– To na pewno Gus!

Russell przypalał papierosa, nie spuszczając badawczego wzroku z niechętej twarzy Tish.

– Ciagle nadaśana, maleńka? – spytał szorstko.

– Nie dąsam się – odparła butnie.

– Nie opierałaś się. Wręcz odwrotnie.

Zaczerwieniła się.

– Przestań, proszę!

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, wróciła Eileen, ciągnąc za rękę tyczkowego, rudego chłopaka.

– Tish, to jest Gus! – przedstawiła go rozpromieniona.

Spojrzała w jasne, błyszczące oczy.

– Miło cię poznać, Gus – powiedziała szczerze.

– Wzajemnie, panno Peacock. – Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Eileen dużo mi o tobie mówiła.

– O ile wiem, interesujesz się inżynierią środowiska – zagaiła, gdy wychodzili, a młody, rozentuzjasmowany student dopiero przed drzwiami Jace'a Colemana skończył opowiadać o erozji ziemi, kontroli osadów i korzyściach płynących z regulacji łożysk strumieni kamiennymi narzutami.

Nana Coleman, skoro tylko cała czwórka przekroczyła próg, natychmiast wystartowała do Russella.

– Wiedziałam, że się złamiesz i przyjdiesz – zaczęła przekornie, otwarcie z nim flirtując.

Uśmiechnął się uprzejmie, unosząc brew.

– Naprawdę? – spytał.

Tish zostawiła ich i udała się do wazy z ponczem, nie chcąc patrzeć, jak jej najlepsza przyjaciółka zaleca się do jej... jej... kim był dla niej Russell?

Miejscowy zespół muzyczny grał głośno i skocznie. Musiała przyznać, że grali nadzwyczajnie. Mieli w repertuarze popularne kawałki i muzykę country. Prawie natychmiast ktoś ją zaciągnął na parkiet w oczyszczonym ze zbędnych sprzętów pokoju bankietowym.

Między tańcami słuchała Jace'a Colemana, wysokiego, siwowłosego ojca Nany, który lamentował nad tegorocznymi zbiorami.

– Oczywiście, zniosę straty – przyznawał bez entuzjazmu. – Tu chodzi o zasady. Teraz jeszcze te mole zbożowe! – wykrzykiwał.

– Kup pan karaluchy – doradzał mu żartobliwie Russell, gdy dołączył do nich z Naną uwieszoną przy ramieniu. – Agent rolny twierdzi, że sieją wśród moli spustoszenie.

Jace zacisnął wąskie usta.

– Założyłem farmę jeszcze w czasach, gdy agenci rolni pojawiali się tylko w kiepskich dowcipach, i będę gospodarzył po swojemu aż do śmierci. Potem Nana może sobie słuchać młodzików po studiach, co nigdy nie szli za pługiem i nigdy nie czuli siły zaprzęgniętego doń muła.

– Masz wysokie ciśnienie, tato – troskliwie upomniała go córka. – Mamy po prostu zły rok.

– Powiedz to Russellowi – zaproponował. – Sieje zboże.

– Amen – skwitował, unosząc do ust szklankę burbona.

– Jeszcze nie widziałem, żebyś zatańczył z Tish – zauważył Jace. –
Czyżby moja córka przywłaszczyła cię sobie?

Nana wydeła wargi.

– Tish ma go cały czas. Na przyjęciach mam prawo go sobie przywłaszczyć. Prawda, Russ? – powiedziała, zerkając prowokująco na niego, co zmroziło Lutecię.

Russell zauważył to po jej oczach i ignorując Nanę, zapytał:

– Chcesz zatańczyć?

– Nogi mi się zmęczyły – odpowiedziała szybko. – Tak się wytańczyłam, że aż mi zdrętwiały – dodała, śmiejąc się nerwowo do Jace'a.

– To nie moja wina – zażartował. – Nie byłem w stanie przebić tych młodych samców.

– Zatem najwyższa pora – odpowiedziała, wyciągając do niego rękę. Jace wzruszył ramionami.

– To twoje nogi, Lutecio.

– Jak widać, nie aż tak zmęczone – wytknął jej Russell na ucho, gdy go mijała.

Unikając jego wzroku, poszła z Jace'em na parkiet, próbując opanować burzę targających nią uczuć, wśród których zazdrość grała pierwsze skrzypce.

Zerkając dyskretnie, widziała, jak Nana rozplywa się w ramionach Russella, który poprowadził ją na parkiet w takt uwodzicielskiej melodii. Zaborczo oparła policzek na jego piersi. Zamknęła oczy, jakby nagle znalazła się w raju. Tish skupiła się z powrotem na swoim partnerze z poczuciem pustki, która miała jej towarzyszyć do końca wieczoru.

Akurat gdy kapela grała pierwsze wolne takty kolejnej piosenki, ujrzała zmierzającego w jej stronę Russella. W garniturze, mroczny i elegancki, prawdziwie po męsku wytworny. Lecz pod tą finezją czuła surową siłę, którą dały mu lata ciężkiej pracy w polu. Czuła w nim pierwotną moc i magiczną, dziwną aurę, która sprawiała, że była go tak bardzo świadoma, a każdy jego dotyk niemal bolał.

– Nie chcę z tobą tańczyć – protestowała, kiedy wziął ją w ramiona i poprowadził.

– Wiem. Czuję to, ale myślę, że jeden taniec jesteś mi winna, jeśli potrafisz opanować zazdrość o Nanę na tyle, by się trochę rozluźnić.

– Ja miałabym być zazdrosna?!

– Zamknij się i tańcz. Tish, jesteś dla mnie jak otwarta książka. Na twojej twarzy wszystko widać. – Otoczył ją ramionami i przycisnął. – Ona nie jest moją kochanką, jeśli o to ci chodzi.

Cała zeszytniała w jego ciepłych, mocnych objęciach.

– Nie obchodzi mnie, ile miałeś kobiet. Nie mam z tym nic wspólnego – powiedziała stanowczo.

Zaśmiał się.

– Rozluźnij się – wyszeptał jej do ucha. – Nie oskarżę cię o próbę uwiedzenia mnie.

– To dziwne, bo oskarżasz mnie o to od chwili, gdy wróciłam, choć sam twierdzisz, że w ogóle się na tym nie znam – powiedziała z irytacją w głosie.

Przysunął policzek do jej włosów, kciukiem pieścił szczupłą dłoń, którą trzymała na jego jedwabnej koszuli.

– Mogę cię nauczyć – powiedział cicho, mocniej ją przyciskając. – Ale dla nas obojga byłoby to nieszczęście. Mam trzydzieści cztery lata, Tish. Ty niecałe dwadzieścia jeden. Tobie jest potrzebny mężczyzna młodszy. Mam już tyle lat, że kiedy się Kocham z kobietą, nie interesują mnie żadne ograniczenia. Gdybyś była starsza, to co innego... ale nie jesteś. Nic z tego nie będzie.

– Ty... zarozumiała egoisto! – wybuchła zażenowana i oburzona.

– Otwórz usta raz jeszcze, a zatopię w nich swoje.

Poczuła przenikające ją fale gorąca. Oparła bezradnie czoło na piersi Russella, nie cierpiąc tego, co potrafił z nią zrobić samymi tylko słowami.

– Tak lepiej – szepnął jej do ucha. – Teraz posłuchaj. Nie chcę, żeby to, co się stało po południu, rozdzieliło nas murem. Za bardzo mnie sprowokowałaś i poznałaś konsekwencje. Na tym koniec. Zapamiętasz to sobie, ja oczywiście też. To cię nauczy, żeby nie rzucać się na mnie z tym swoim słodkim młodym ciałkiem.

Jej twarz najpierw zrobiła się szkarłatna, by zaraz zbieleć jak papier.

– Russell, nienawidzę cię – powiedziała oziębło.

– A to sobie nienawidź. Proszę bardzo – powiedział z gorzkim uśmiechem. – Będzie to pożądana zmiana w miejsce beznadziejnie zakochanej nastolatki rozpaczliwie uczepionej mojej szyi!

Równie dobrze mógłby uderzyć ją w twarz, taką miała minę. Z płaczem wyrwała się z jego ramion. Cień przemknął przez jego twarz. Skrzywił się.

– Tish, mój Boże, nie to miałem na myśli... – powiedział cicho.

Nie zdążył jednak dokończyć przeprosin, a Russell nigdy nie był tak blisko przepraszania kogokolwiek, gdy przerwała im Eileen.

– Russ, dzwoni Lisa – szepnęła. – Coś się stało.

Wybiegł w mgnieniu oka, a Eileen odetchnęła głęboko.

– Była cała rozhisteryzowana. Zastanawiam się, co się stało.

– Eileen, kto to jest ta Lisa? – spytała Tish, ze wszystkich sił starając się pozbiierać.

– Wiem tyle co ty. – Wzruszyła ramionami. – Dzwoni do Russa dość często, a on jeździ do niej, do Jacksonville, raz w miesiącu. Nigdy o niej nie mówi, a kiedy próbuję go pytać... sama wiesz, jaki bywa wybuchowy.

– Jak się o niej dowiedziałaś, jeśli nie on ci powiedział?

– Przypadkiem usłyszałam, jak rozmawiał z ojcem, kiedy sobie popili.

Russ mówił, że kocha Lisę i przykro mu, że musi ją tam zostawiać. –

Uśmiechnęła się. – To strasznie romantyczne, chociaż mógłby się z nią w końcu ożenić. Ma słodziutki głosik, jak mała dziewczynka... O rany, tylko mu nie mów, że ci powiedziałam! Gdyby się dowiedział, zdarłby ze mnie skórę!

Nagle poczuła bolesną pustkę w sobie. Kochał Lisę. Była jego kobietą. Nic dziwnego, że nigdy nikim poważnie się nie interesował. Dlaczego z nią się nie ożenił? Jest już zamężna? A może to jedna z tych wolnomyślicielek, które nie wierzą w małżeństwo?

– Hej, gdzie tak odjechałaś? – Eileen roześmiała się. – Napijmy się ponczu. To może potrwać. Oni uwielbiają z sobą rozmawiać.

– Poncz? Może być – przystała z roztargnieniem i jak ogłuszona poszła za Eileen do stołu z przekąskami.

Kwadrans później Nana Coleman powiedziała im, że Russell musiał nagle wyjechać i nie będzie go kilka dni. Zaprosiła je na noc, łagodząc tym samym wrażenie, jakie wiadomość zrobiła na Tish, która była jej serdecznie

wdzięczna za siebie i za Eileen. Tej nocy nie byłaby w stanie znieść ogromnego, pustego domu. Zadreślała się słowami, które z taką złością Russell rzucił jej w twarz.

W sobotę Frank i Belle wylądowali na prywatnym lądowisku posiadłości, a Russell ani nie wrócił do domu, ani nie zadzwonił. Tish pojechała po nich mercedesem, Eileen jak zwykle spędzała czas z Gusem przy stajniach.

Frank spostrzegł ją i wyszedł naprzeciw. Jego blond włosy lśniły w słońcu niczym złoto. Uniósł Tish wysoko w ramionach i złożył na jej uśmiechniętych ustach gorący pocałunek.

Patrzył na nią uradowany.

– Posiłek dla głodnego mężczyzny. – Odsunął ją od siebie i z aprobatą skinął głową na wydekoltowaną, jasnożółtą letnią sukienkę ściśle przylegającą do miękkich krągłości ciała.

– Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście do mnie tęskniłeś. – Roześmiała się. – Cześć, Belle, miło cię widzieć.

– Wzajemnie – odpowiedziała ospale, przeciągając swe bujne kształty opięte w czerwone spodnium. – Więc tak wygląda głucha wieś! Mój Boże, Lutecio, toć to koniec świata! Jak ty to znosisz?

– Są i zalety – mruknęła Tish. – Czy wasz pilot coś by przekąsił przed odlotem? – zapytała z uprzejmym uśmiechem.

Mężczyzna w średnim wieku pokręcił przecząco głową.

– Dzięki, panienko, ale za dwie godziny muszę być w Atlancie. Zaniosę torby do samochodu.

– Lot był przyjemny – powiedział Frank – ale jeszcze przyjemniej jest wreszcie wylądować. Tish, chciałbym jutro pożyczyć samochód, żeby pojechać do Bright Meadows.

– Podwożę cię – odpowiedziała wymijająco. Nie chciała się przyznać, że bez zgody Russella nie może dysponować żadnym samochodem. Russell! Ostry ból przeszył jej serce. Russell i Lisa. Lisa i Russell. Opanowała się i wróciła do Franka. – Jesteś bardziej opalony. – Przyjrzała się mu.

– Jesteś jeszcze ładniejsza. – Uśmiechnął się. – O rany, miło mi, że nie wyglądasz jak większość z nas wyobraża sobie dziewczyny z farmy, co to nie noszą dzinsów, mają wiecznie brudne ręce i ciągle chodzą w butach roboczych. Przykro by mi było, gdybyś wyglądała jak prostytutka z prowincji.

Ugryzła się w język. Opanowała się. To przybysze, mówiła sobie, nie znają wsi.

– Gdzie jest Russell? – dopytywała się Belle.

– Wyjechał na kilka dni – odparła lapidarnie.

– W interesach? – Wyraźnie rozczarowana Belle nie ustępowała.

Tish spojrzała na nią obojętnie.

– Do kobiety. – Widząc zazdrość w szafirowych oczach, poczuła złośliwą przyjemność.

– Jest zaręczony? – dociekała Belle.

– Nic o tym nie wiem.

Belle uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

– Czyli w porządku...

Było jasne, że nic mniej ważnego od ustalonej daty ślubu nie jest w stanie jej powstrzymać.

Zaprowadziła ich do samochodu i całą drogę zastanawiała się, która z kobiet jest bardziej niebezpieczna, nieznana Lisa czy jasnowłosa tygrysica na tylnym siedzeniu. Ta czy tamta, myślała smętnie, jej i tak to nie dotyczy. Jest tylko „beznadziejnie zakochaną nastolatką rozpaczliwie uczepioną jego szyi”. Dałaby wszystko, żeby zapomnieć te przykre słowa. Jednak czuła, że nigdy mu ich nie wybaczy.

Eileen przyjęła Franka i Belle z chłodną uprzejmością, a Joby i Mattie z wyraźną rezerwą. Tish rozumiała ich niechęć do Belle, która sypiała do południa i zwlekała się na dół na gorące śniadanie, lecz Frank był gościem doskonałym. Z zadowoloną miną popijał drinki pośród antyków, przechadzał się po piętrach rozległego domostwa, o wszystko się dopytując. Nawet szkicował niektóre elementy wyposażenia, żeby podobne zastosować podczas urządzania Bright Meadows.

Tish dwa razy pojechała z nim do starego, ceglanego domu wiejskiego i była pod wrażeniem ogromu prac remontowych. Wszystkie uszczelnienia zostały zmienione, przerobiono kanalizację i instalacje elektryczne. Koszmarny, kosztowny remont, ale Frank zdawał się nie przejmować wydatkami.

Uśmiechał się, kiwał głową do robotników z takim wzrokiem, jakby spoglądał w daleką przyszłość.

Eileen nie ukrywała, że go nie lubi. Niezbyt zręcznie wykręcała się od jego towarzystwa, w ogóle jej niechęć do obojga gości bardzo rzucała się w oczy.

Pewnego dnia, na konnej przejażdżce, kiedy Eileen i Gus sporo wyprzedzili Tish i Franka, ten zapytał ją o to wprost.

– Zauważyłaś, jak twoja siostra traktowała nas podczas kolacji?

Tish zrównała łagodną klacz z jego dereszem i westchnęła, obserwując parę przed nimi.

– Porozmawiam z nią – powiedziała cicho.

– Mam nadzieję, kochanie – stwierdził rzeczowo Frank. – Przez nią nasza wizyta zamienia się w piekło. Biedna Belle ledwie to wytrzymuje.

Tish chciała go zrzucić z konia, ale opanowała się i zamiast tego uśmiechnęła się.

– Nie jest przyzwyczajona do gości.

– Czyli powinienem się stąd wynieść, tak? – spytał z cierpkim uśmiechem.

– Frank, nie to miałam na myśli...

– Miałaś, miałaś. Nie ma sprawy. Matka ciągle mi to powtarza, więc możesz i ty. – Spojrzał wysoko w górę. – Jeśli chcesz, żebyśmy wyjechali, to wystarczy powiedzieć.

– Oczywiście, że nie chcę – odparła zirytowana. – Porozmawiam z Eileen.

– No dobrze, skoro nalegasz. Pojedźmy do strumienia, dobrze?

Przynajmniej jakaś rozrywka!

Przyglądała mu się, zastanawiając się z roztargnieniem, dlaczego jego świetna aparycja i urok osobisty w ogóle nie robią na niej najmniejszego wrażenia. Gdyby się o tym dowiedział, dopiero by jego duma ucierpiała. Minęły zaledwie trzy dni, a już jego towarzystwo złościło ją i nudziło. Tam, na plaży, zdawało jej się, że tak wiele ich łączy, lecz teraz nie było już nic.

On zaś coraz bardziej kręcił nosem. Russellowi by się to nie spodobało, myślała zdenerwowana.

Na myśl o Russellu oczy jej zwilgotniały i ból powrócił. Przypomniała sobie Lisę.

– Ścigajmy się do strumienia! – krzyknęła do Franka pod wpływem impulsu.

– Ścigać się? – Roześmiał się. – Kochanie, te bestie nie mają pasów bezpieczeństwa. Jeżeli pojedę szybciej niż teraz, to spadnę na wstydliwą część ciała.

– Wybacz. Zapomniałam, że nie jeździsz najlepiej. – Przypomniała sobie, jak chętnie Russell podejmował wszelkie wyzwania, a w ściganiu się bił ją na głowę, nawet jeśli miała szybszego konia. Oczy mu płonęły i przyjemnie było patrzeć, jak dosiadał konia. Jakby był z nim zrośnięty. Każdy jego ruch był doskonały... – Jak Angela? – spytała wesoło i wygodniej usadowiła się w siodle.

Ściemniało się, kiedy wrócili do domu. Podjechali pod frontowe schody i gdy ujrzała palące się w pokoju Russella światło, mocniej zabiło jej serce. Pokój przeważnie był ciemny, chyba że on był w domu. Ogarnęło ją niewytłumaczalne przeczucie nadchodzącej katastrofy.

– Kochanie, ty drżysz – zauważył Frank, gdy wchodzili po schodach i objął ją. – Co ci jest?

– Zapomniałam swetra – skłamała, tuląc się do niego, żeby się uspokoić. – Trochę mi zimno.

Przystanąła, żeby mógł otworzyć drzwi, i dodając sobie otuchy, weszła do środka.

W jasno oświetlonym korytarzu nie było nikogo. Drzwi do pokoju Russella stały otworem. Westchnęła z wyraźną ulgą, kiedy zobaczyła plecy Belle Tyler. Po prostu tam zagląda, pomyślała beztrąsko.

– O, już jesteście! – Belle roześmiała się. W jej niebieskich oczach o ciężkich powiekach pojawiły się nowe iskierki.

Nagle Tish pojęła, dlaczego. Po chwili obok Belle stanął Russell i przyłapała się na tym, że uporczywie wpatruje się w jego mahoniowe oczy. Serce w niej zamarło. Miał na sobie jasnoniebieski garnitur, kremową koszulę i krawat w deseń, który podkreślał posępność Russella. Posępność czysto męską, połączoną w istic szatańskiej kombinacji z mocną szczęką i grymasem niezadowolenia, z którym spojrzał wprost na nią. Kiedy omiatał ją wzrokiem, w jego oczach dostrzegła płomień.

Uniosła dumnie głowę. Ani na moment nie zapomniała bolesnych słów, którymi w nią cisnął, zanim pojechał na Florydę.

– Witaj w domu, Russell – powiedziała zimno.

Kąciki ust zadrgały mu nieco, ale w oczach uśmiechu nie było. Na jego twarzy ujrzała także nowe bruzdy.

Belle zaborczo trzymała go pod ramię.

– Opowiadałam twemu bratu o tym, jak bardzo się nam tu podoba – odezwała się do Tish. – Mogłabym tu zostać na zawsze!

Aż nią zatrzęsło, ale zdołała się uśmiechnąć.

– Cieszymy się, że jesteś z nami – powiedziała uprzejmie.

Belle zignorowała ją.

– Russell, pamiętasz mojego brata, Franka?

– Pamiętam. – Podał mu rękę z czytelną dla Tish arogancją.

– Jak się masz, chłopcze.

Frank, krzywiąc się, uściśnął mu dłoń.

– Miło znowu pana widzieć – skłamał.

– Wzajemnie. – Russell wyjął z kieszeni papierosa. Pochylił głowę, przypalił. W jasnym świetle żyrandola załśniły ciemne włosy. – Jak idzie remont?

– Jakoś idzie – odrzekł Frank. – Prace na zewnątrz spowolnił deszcz, ale robotnicy szybko nadrabiają opóźnienia.

– To samo mówiła mi Belle – odpowiedział Russell, uśmiechając się lekko do niej. – Gdzie podziewa się Eileen?

Tish nie miała pojęcia. Aż do tej chwili w ogóle o niej nie myślała.

– Pojechała z Gusem do miasta – powiedziała bez troski Belle. – Po jakieś siodło.

Russel drgnął niezadowolony.

– Mówiłem jej, że wieczorem nie może bez pozwolenia wychodzić z domu. Jutro ma szkołę. Tish, ty za nią odpowiadasz.

– Nie zadała sobie trudu, żeby mnie zapytać o pozwolenie. – Już gotowała się do boju. – Mam gości, Russell.

– To ma być odpowiedź? Spojrzała na niego gniewnie.

– Nie mogę być wszędzie. Byłam z Frankiem na koniach...

– Proszę – wtrąciła z nerwowym śmiechem Belle.

– To ja... ja jej powiedziałam, żeby pojechali. Byłam pewna, że nie miałbyś nic przeciwko temu. Poza tym ona ma siedemnaście lat – dodała jednym tchem, widząc, z jaką wściekłością spojrzał na nią.

– Jeszcze jedna nastolatka uczepiona twojej szyi – rzuciła z goryczą Tish i natychmiast tego pożałowała.

Spojrzał na nią z jawnym przesłaniem, że żarty się skończyły.

– Uważaj, dziecino – powiedział pozornie łagodnym tonem. – Pamiętaj, co się stało ostatnio, kiedy za bardzo mnie sprowokowałaś?

Poczerwieniała i odwróciła wzrok.

Ktoś powoli zaczął otwierać drzwi wejściowe. Mała, czarna głowa wsunęła się do środka i niespokojnie się rozejrzała. Duże brązowe oczy spostrzegły stojącą w korytarzu grupkę.

– O, cześć – przywitała się Eileen z niezbyt przekonującym uśmiechem. – Czy ktoś mnie szukał?

– Wejdz – powiedział Russell niskim, cichym głosem. To był znak, że jeszcze trochę, a puszczą mu nerwy.

Eileen wstrzymała oddech i weszła do środka, zasłaniając się skrzyżowanymi na piersiach rękami.

– Russ, wszystko wytłumaczę...

– Wytłumacz. – Uniósł papierosa do ust i groźnie zmrużył jedno oko.

– Gus powiedział, że jedzie do miasta po siodło, które zamówił Grover – wyjaśniała pośpiesznie.

– I poprosił mnie, żebym pojechała z nim. Belle mówiła...

– Nieważne, co mówiła Belle – przerwał jej. – Za to ja mówiłem, że kiedy mnie nie ma w domu, nigdzie wieczorem nie wychodzisz. Mówiłem?

– Ale jeszcze nie jest ciemno.

– Oczywiście, że jest.

– Russ, mam prawie osiemnaście lat – jęknęła.

– Mówisz mi to przy każdej okazji.

– Coś to da, jeśli przeproszę?

– Niewiele, do diabła. – Zaciągnął się znowu.

– Tym razem ci daruję z powodu gości Tish, ale następnym razem – kończył z zimnym, groźnym uśmiechem – zedrę z ciebie skórę albo z Gusa... czy też z obojga. Zrozumiałaś?

Oczy Eileen zaszły łzami.

– Tak, Russ.

– W porządku. Teraz chodź tu do mnie i przywitaj się jak należy.

Podeszła do niego nadąsana, ale on uśmiechnął się, porwał ją w ramiona i złożył na jej ustach krótki, serdeczny pocałunek. Ulżyło jej. Objęła go szczupłymi rękami i rozplakała się, a on tulił ją, aż przestała.

Tish na widok zażyłości między bratem i siostrą minęła złość. Z Russellem zawsze tak było. Jeśli mu się sprzeciwiać, był okrutny, ale złość mijała równie szybko, jak przychodziła, a wtedy był bardzo miły.

– Och, Russ, jesteś okropnym tyranem – mruzczała Eileen z buzią przy jego koszuli.

– Pochlebstwem niczego nie osiągniesz, maleńka.

– Za to ręczę – mruknęła Tish, nieświadoma zdziwionych spojrzeń, które Frank i Belle między sobą wymieniali.

Russell spojrzał na nią groźnie i odsunął się od Eileen.

– Mamy z sobą do pomówienia, sarkastyczna panienko.

– Och, na to czekam – odpowiedziała z udanym zapałem, patrząc na niego ze złością.

– Wiem, że bracia i siostry czasem się kłócą – odezwała się Belle. – Ale wy robicie z tego czysty teatr.

– Tish nie jest moją siostrą – odparł zdecydowanie Russ, patrząc w jej wystraszone, niebieskie oczy.

– Jeśli zapomniała wam o tym powiedzieć, to powiem ja. Zająłem się nią, kiedy jej ojciec zginął w wypadku przy pracy. I ja ją wychowałem. Nie łączą nas żadne więzy krwi.

Tish myślała, że go uderzy. Było to po niej widać, chociaż cieszyła się trochę, że nie powiedział całej prawdy.

– Chodźcie wreszcie jeść! – krzyknęła Mattie, wchodząc nagle do korytarza. – Bo wyrzucę całe to żarcie przez okno!

Zmuszając się do śmiechu, Tish wzięła Franka pod ramię.

– Słyszałeś. Lepiej się pośpieszmy.

– Nie wierzę... Naprawdę by to zrobiła? – spytał zdumiony Frank.

– Jest z tego znana – odpowiedział Russell.

– A raz cisnęła talerzem w mojego ojca, kiedy zrobił o jedną uwagę za dużo na temat ilości cebuli, którą usmażyła do jego steku.

– Bez wątpienia winny był Baker – potwierdziła Tish. – On i Mattie nigdy się nie zgadzali w sprawie przypraw.

– Raz się zgodzili – sprostował Russell, gdy szli w kierunku stołowego. – Wtedy, kiedy potajemnie włąli do twojego piure z groszku pół butelki sosu pieprzowego. – Zachichotał i znowu było miło. – Boże, ale miałaś minę!

Także się roześmiała.

– Co to jest sos pieprzowy? – spytała Belle.

– Bardzo, naprawdę bardzo ostry sos na occie winnym z czerwonego pieprzu – wyjaśniała Eileen.

– Jeśli ktoś jest nieprzyzwyczajony, to może sobie spalić język.

Biedna Tish. Piła wodę ponad godzinę, żeby zgasić ten pożar.

– Dwie godziny – sprostowała. – Ale się odpląciłam.

– Jak? – spytał Frank.

– Hm... – Zawahała się, zastanawiając się, czy nie będzie zbyt prostackie, jeśli powie swoim purytańskim gościom, że powiązała razem kalesony Bakera w długą wstęgę i przed jego cotygodniową wyprawą do Atlanty przymocowała ją do cadillaca. Dowiedział się o tym dopiero wtedy, kiedy zatrzymała go policja stanowa. Wrócił do domu czerwony jak jego czapka łowiecka, żądny krwi...

– Dalej – drwił z niej Russell. – Opowiedz mu. Chrząknęła, unikając zaciekawionego wzroku

Franka.

– Może później – powiedziała szybko. – Teraz jedzmy. Umieram z głodu!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jedzenie, które podała Mattie, wyglądało bardzo apetycznie. Smażone po wiejsku steki, bułeczki domowego wypieku, a dopełniały listę świeże rzepy, młoda kapusta i brukiew z ogródka. Goście zdawali się doceniać wysiłki drobnej Murzynki i nawet wybredna Belle komplementowała ją, chociaż, myślała złośliwie Tish, robiła tak tylko po to, żeby się przypodobać Russellowi.

Zmysłowa blondynka usiadła obok niego na miejscu, które kiedyś należało do Tish, i pożerała go wzrokiem.

Tish zmuszała się do podtrzymywania powściągliwej konwersacji z Frankiem, lecz jej oczy uparcie wędrowały w stronę ciemnej i po męsku pięknej twarzy Russella. W końcu, napotkawszy jej wzrok, odpowiedział tak ostrym spojrzeniem, że spłoszyła i na resztę kolacji wbiła oczy w talerz. Ledwie słyszała cichy głos Franka, gdy ten usiłował dowiedzieć się, dlaczego jest taka zaczerwieniona.

Kiedy Eileen odważyła się zapytać Russella o jego podróż, uzyskała tyle, że natychmiast zmienił temat i zmroził ją wzrokiem. Zapytał Franka o jego plany względem Bright Meadows, wsłuchiwał się w swobodną paplaninę Belle, jednym słowem, odgrywał perfekcyjnego gospodarza. Tish jednakże, widząc jego wymizerowaną twarz, czuła, że coś go nurtuje. Dziwiła się tylko, że nikt tego nie zauważył.

Po kolacji wszyscy przeszli do salonu na kawę, ale po kilku chwilach Tish wymówiła się tym, że musi pomóc Mattie w sprzątaniu kuchni. Nie mogła wytrzymać widoku Belle, która usiadła na kanapie tak blisko Russella, że niemal się w niego wpiła.

– Nie musisz mi pomagać – gderła Mattie i próbowała wygonić Tish z kuchni. – Lepiej idź do swoich gości.

– Świetnie sobie radzą beze mnie. – Zabrała się do parzenia kawy. – Idź do domu. Spędzisz trochę więcej czasu z Randalem. Przyjechał tylko na weekend?

Oczy Mattie rozbłysły radośnie.

– Pojutrze wyjeżdża. Wiesz, że poza mną z naszej rodziny on pierwszy skończył piątą klasę. Teraz jest lekarzem i jestem z niego dumna. Oboje jesteśmy dumni, Joby i ja.

Tish stanowczo rozwiązała jej fartuch i powtórzyła, że może już iść.

– Gdy nie ma Mindy, ta kuchnia jest moja, a ja na noc ciebie z niej wyrzucam, w porządku?

Mattie roześmiała się i pokręciła siwą głową.

– Zawsze mówiłam, że jesteś niemożliwa, trzcinko cukrowa. W porządku, wielkie dzięki, zaraz pędzę do domu.

Tish uściskała ją mocno.

– Wiesz, że nawet cię lubię? Mattie mrugnęła do niej.

– Ja też nawet cię lubię. Dobranoc.

Kiedy wyszła, Tish włączyła zmywarkę i właśnie stawiała na tacy filiżanki do kawy, gdy w drzwiach stanął Russell.

Zamarła przy blacie, walcząc z przemożną chęcią ucieczki. Przez całą szerokość kuchni spojrzała z wyrzutem w jego ciemne oczy i wszystko, co wcześniej sobie powiedzieli, wróciło do niej, tworząc między nimi mur nie do przebycia.

Wsunął ręce do kieszeni, oparł się o ościeże i obserwował ją.

– Nie masz nic do powiedzenia, Tish? – zapytał. – Przy świadkach bardziej jesteś wygadana.

– Russell, a co mogę powiedzieć bez narażania się tobie? – spytała cicho. – Boję się otworzyć usta. Jeśli żartuję, to bierzesz to za prowokację. Jeśli cię dotykam, uważasz, że chcę cię uwieść. Jeśli cię obejmuję, to jestem...

– Owszem, nie traktowałem cię najlepiej, ale prawdę mówiąc, nigdy nie miałem zamiaru aż tak cię ranić. – Mówił cicho, łagodnym głosem, w którym nie było jednak ani skruchy, ani pokory. – Lecz to ty zaczęłaś to wszystko. Nie jest przyjemnie dowiedzieć się od kobiety, którą wychowywałem od dziecka, że mnie nienawidzi. To boli. Dlatego wziąłem odwet.

Spuściła oczy i w głębi duszy przyznawała mu trochę racji, ale nadal cierpiała.

– Ostatnio tylko na mnie krzyczysz – stwierdziła beznamiętnie.

– Przejrzyj na te swoje cholerne oczy, to zrozumiesz, dlaczego – warknął.

Odwróciła się zdumiona.

– Russell, a jak tam Lisa? – spytała oschle z nutą sarkazmu w głosie.

– Mam nadzieję, że dobrze ją schowałeś?

Poczuła smak pogardy przesycającej powietrze wokół niej i zaraz pożałowała swoich słów.

– To jest jedyny temat, mała dewotko, który jest poza twoim zasięgiem – powiedział lodowatym tonem. – To część mojego życia, którą nie dzielę się z nikim. Czy to jasne?

Zmieszana i zaczerwieniona, zajęła się napełnianiem filiżanek parującym, czarnym płynem. Co ją podkusiło? Dlaczego to zrobiła? Dlaczego z takim jadem dopytywała się o tamtą kobietę? Nie potrafiła sobie na to odpowiedzieć.

– Kto ci o niej powiedział? – spytał pozornie spokojnie, ale był tak spięty, że głos miał ostry jak brzytwa.

Pokreśliła głową.

– Tak mi się obilo o uszy. Ale przepraszam, to nie moja sprawa...

– Ty ciągle przepraszasz – warknął, nie dając jej dokończyć. – A wiesz, dlaczego? Nie dlatego, że robisz te cholerne głupie uwagi, jak ta przed chwilą, tylko dlatego, że mnie wytrącasz z równowagi.

Skupiła się na parujących filiżankach i zamierzała sięgnąć po tacę.

– Randal jest w domu – próbowała zmienić temat.

– Dlatego dałaś Mattie wcześniej wolne. Wzruszające! Mała świętoszka, która śpieszy na ratunek całemu światu!

Poczuła gorycz. Ostre słowa cięły jak bat.

– Przestań – szepnęła niepewnie ze łzami w oczach.

Rzucił się do niej z wyciągniętymi rękami i schwycił ją w talii, rozmyślnie tak mocno, że aż się wzdrygnęła.

– Co mam przestać? – warknął tuż przy jej uchu. Był tak denerwująco blisko, że czuła na policzku jego oddech. – Mój Boże, powstrzymałem się, ale dotknęłaś mnie do żywego. Zdajesz sobie z tego sprawę? Przy kolacji byłaś taka dumna i bezczelna, ale kiedy spojrzałaś mi w oczy, zobaczyłem, jak mięknie i czułem, jak cierpisz. Myślisz, że nie wiem, jak wielką przykrość ci sprawiłem? Zrobiłem to celowo. Musiałem... Boże, Tish, jesteś mi potrzebna jak powietrze, którym oddycham... odwróć się!

Odwrócił ją gwałtownie do siebie, przycisnął do twardego torsu i jednym płynnym ruchem ust odnalazł jej usta. Ciepły, pachnący tytoniem pocałunek odurzył ją, bliskość ciał, potężna siła trzymających ją ramion, sprawiały, że kręciło jej się w głowie. Chrapliwie mrużąc, Russell siłą rozchylił jej obolałe, drżące wargi. Zanurzwszy palce w długich włosach, odchylił jej głowę do tyłu i całował. Wolno, mocno, łakomie...

– Trucizna – szeptał przy jej ustach. – A niech cię, jesteś jak trucizna w moich żyłach, zapierająca dech w piersi! Śnią mi się po nocach te twoje oczy, szare i mgliste jak listopadowe deszcze... – Skubał jej wargi lekkimi, pachnącymi tytoniem, przejmującymi pocałunkami, od których jęczała na znak protestu, jakby ją zameczał. Odsunął się i spojrzał w jej zamglone oczy.

– Mój Boże, mógłbym sprawić, że dałabyś mi wszystko, czego bym tylko zapragnął, a ja nawet nie próbuję. To szaleństwo. Różni nas prawie czternaście lat i nigdy tego nie nadrobisz. Nie, nie mów nic – uciszył ją, gdy próbowała pytać go, o czym on mówi, bo taki miała w głowie mętlik, że nic do niej nie docierało.

– Nic nie mów, tylko stój spokojnie i pozwól mi smakować te słodkie, miękkie usteczka. Całuj mnie, najśłodsza... całuj.

Ślepo mu posłuszna, objęła go pod marynarką i od tej bliskości krew się w niej burzyła, oddech mieszał się z oddechem Russella, a od jego żarliwości piekły ją usta.

Zdawało się jej, że ziemia wymyka się spod nóg, i rzeczywiście tak było. Uniósł ją w powietrze i zaczął iść.

– Gdzie... ? – wyszeptała, cała drżąc.

– Mój Boże, a jak ci się zdaje? – warknął ochryple, kierując się wprost na tylne schody.

– Nie – protestowała bezsilnie. – Och, Russ, nie... – szeptała, gdy za nimi rozległ się głos kogoś jeszcze.

– Tish, gdzie jesteś? – Roześmiana Eileen stanęła w drzwiach i nagle zamarła, szeroko otwierając zdumione oczy.

Kiedy Russell postawił Lutecię na ziemię, miała nogi jak z waty i mogła sobie tylko wyobrażać, jak wygląda. Ze spuchniętymi ustami, włosami zmierzwionymi twardymi palcami, musiała wyglądać jak dzika, wystraszona...

– Ja... tylko... aha... – jąkała się Eileen, a na jej okrągłej buzi ciekawość przechodziła w zdziwienie i w końcu w pewność. – Widziałaś... Franka? – dodała z drżącym uśmiechem na ustach.

– Gdzie jesteś, Tish? – wołała Belle przesłodzonym głosem.

– Aha... no to mamy kłopot, co? – Eileen chrząknęła i błyskawicznie podbiegła do drzwi, zatrzymując Belle w samą porę. – Ona jest na zewnątrz. Zaprowadzę cię – powiedziała wesoło i niemal siłą wywlokła ją na dwór.

– Tish... – zaczął Russell, a w jego niskim głosie słychać było nutkę żalu.

– W... w porządku – szepnęła, unikając jego mrocznego, opanowanego spojrzenia. – Nie chciałam cię prowokować...

– Ty nic nie zrobiłaś. To ja. Ale mała Eileen nie jest ślepa, maleńka. Usta masz spuchnięte i nawet nowicjusz się zorientuje, że nie był to tylko jeden serdeczny pocałunek.

– Nie narobiłeś mi wstydu? – wyszeptała cała roztrzęsiona.

– Tu się nie ma czego wstydzić. – Zapalił papierosa. – A jeśli zaniósłbym cię tymi schodami na górę, do mojej sypialni, jak się pewnie domyślasz, to też niczego wstydliwego by w tym nie było. Faktycznie – mówił, zaciągając się – tam właśnie cię niosłem. Jednak nie z powodu, o jakim myślisz – dodał, patrząc jej spokojnie w oczy.

– Nie chcę o tym wiedzieć!

– Dlaczego?

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

– Ja nie potrafię... robić tych rzeczy. Z żadnym mężczyzną, a zwłaszcza z tobą. To dla mnie coś nowego... Russell, to jest... to... Boże, śmiertelnie mnie wystraszyłeś! – wyszeptała ze łzami w oczach, wstrząśnięta do głębi, onieśmielona i znekana. – Przy tobie czuję takie rzeczy, jakich nigdy sobie nie wyobrażałam, ty...

– Powiedz to! – krzyknął.

– W porządku, powiem! Ja nie mogę... nie mogę... przy Franku tak się nie denerwuję, jakoś mi łatwiej... ale ty spalasz mnie żywcem! Ja się ciebie boję, Russell!

– Dobry Boże, a czego tu się bać? – spytał szorstko.

Nie umiała mu odpowiedzieć. Cała drżąca, sfrustrowana i zmieszana, odwróciła się. Samej siebie się bała, chciała mu odpowiedzieć. Boję się, że dam ci wszystko, co mam, a ty to weźmiesz.

– Chodzi o Lisę, tak? – spytał z naciskiem. W dużej kuchni jego niski głos dudnił i odbijał się echem.

– Nie radzisz sobie z tym, co?

Przyznała ze wstydem, że nawet nie pomyślała o jego tajemniczej kobiecie. Podczas zaczarowanych, rozplomienionych chwil w jego ramionach zapomniała o bożym świecie. Teraz to do niej dotarło.

Zamknęła oczy i z bólem uzmysłowiła sobie to, co jej powiedział. Lisa jest częścią jego świata, z której nigdy nie zrezygnuje.

– Russell – powiedziała, wbijając oczy w blat kuchenny, do którego podeszła po tacę. – Nigdy sobie z tym nie poradzę. A ty... nigdy byś z niej nie zrezygnował...

– Nie ma mowy, kochanie – powiedział szorstko. – Nawet dla ciebie. To mówi samo za siebie, więc zapomnijmy o tym, co się przed chwilą wydarzyło.

Skinęła głową. Zza ściany dobiegały wesołe śmiechy, a jej chciało się tylko płakać. Od przejmujących pocałunków piekły ją usta, ciało bolało tam, gdzie Russell przyciskał ją do siebie, gdzie wbił się w nią twardymi palcami. Lecz wszystko to było niczym wobec bólu serca. Odrzucenie to jedno, ale żeby jakaś... wywłoką znaczyła dla niego tak dużo, że nie chciał się jej pozbyć... Miałaby się nim dzielić z jakąś Lisą? Nienawidziła go. Nienawidziła! Odwróciła się, żeby mu to powiedzieć, ale w kuchni nie było nikogo.

Gdy zastanawiała się, co ma zrobić ze swoim wyglądem, w drzwiach stanęła Eileen.

– Przyniosłam, hm, grzebień i szminkę z twojej torebki – powiedziała zmieszana. – Pomyślałam, że zanim stąd wyjdiesz, chciałabyś się... ogarnąć.

Tish zmusiła się do uśmiechu i wzięła od niej rzeczy, które przyniosła.

– Dzięki, Lena. A gdzie... oni są?

– Masz na myśli, gdzie on poszedł? Tego nikt nie wie – powiedziała, odgadując pytanie z wyrazu jej pociemniałych oczu. – Wybiegł z domu jak oszalały, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nasi goście zostali w salonie naburmuszeni. Lepiej się pośpiesz. Frank jakby coś podejrzewał.

– Niby co – spytała Tish niewinnie, rozczesując długie włosy.

– Dlaczego ciebie i Russella tak długo nie było i dlaczego on pognał jak szaleniec. O rany, Tish – dodała z wahaniem – kiedy tu weszłam, nie wiedziałam, co mam robić...

– Dzięki w każdym razie, że zatrzymałaś Belle. Chybabym się zapadła pod ziemię, gdyby to ona tak weszła, a nie ty.

Eileen przyglądała się jej, jak szminkuje spuchnięte wargi.

– A ja chyba umrę, jak cię nie zapytam. Wiesz o co.

Tish spuściła oczy, ale mimo największych wysiłków i tak się zaczerwieniła.

– To... był tylko pocałunek, Lena, tylko jeden...

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć – powiedziała łagodnie Eileen. – Ale obje wiemy, że Russell nie jest wyrachowany. Jest moim bratem, kocham go

I nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek chciał cię zranić. Po prostu bądź ostrożna.

– Powiedział, że powinniśmy o tym zapomnieć – odrzekła Tish, ciągle jeszcze pod wrażeniem, i tego, co się stało, i jego bolesnych słów. – Z powodu Lisy. Ostrożność nie ma tu nic do rzeczy. Pomożesz mi z tą kawą?

– Jasne. – Wzięła tacę.

– Jak ja... wyglądam? – spytała Tish.

Eileen uśmiechnęła się.

– Już nic nie widać.

– No to do dzieła. – Tish nawet zdołała się uśmiechnąć.

Następnego ranka oczy miała podkrążone, poszarzałe i pełne udręki. Włożyła dzinsy, niebieską bluzkę z długimi rękawami i zaczęła się czesać. Makijażem nie zawracała sobie głowy. Jakoś przestało jej zależeć na robieniu wrażenia na Franku, a co do Russa, to była pewna, że od dawna był w polu.

Jednak gdy weszła do stołowego, Russell siedział przy stole razem z Frankiem i popijał kawę. Na sam jego widok mocniej zabiło jej serce. Jasnoblękitna dzinsowa koszula opinała muskularną klatkę piersiową. Krótkie, czarne włosy lśniły we wpadającym przez okno świetle.

– O, już jesteś – powiedział Frank z ulgą i wstał, uśmiechając się do niej, kiedy podchodziła do stołu. – Idę po Belle, może zdołam ściągnąć ją z łóżka. Russell bierze nas wszystkich na konną przejażdżkę. Zaraz wracam, kochanie.

Pochylił się i cmoknął ją lekko w usta, jakby chciał przed Russellem pokazać, że należy do niego, a wychodząc, mrugnął do niej. Tish siedziała usztywniona, zastanawiając się, gdzie się podziała Eileen. Starła się nie reagować na intensywne spojrzenie Russella.

– Co to miało być, do cholery? – zapytał obcesowo. – Chciał mi przypomnieć, że jesteś jego własnością?

Przełknęła ślinę.

– Gdzie jest Eileen? Jeszcze nie wstała? – zapytała, zamiast odpowiedzieć.

– Poszła wcześniej do szkoły.

– Aha.

Weszła Mattie z kawą, a Tish, mruknąwszy jakieś podziękowanie, zaczęła ją słodzić i nalewać śmietanki.

– Nie spałaś – powiedział cicho Russell.

– Spałam... bardzo, dziękuję.

– Spójrz na mnie, Tish.

Z bijącym sercem, słysząc w jego głosie zatroskanie, posłusznie spojrzała mu w oczy, cierpliwe i ciemne.

– Dlaczego się mnie boisz? – zapytał łagodnie.

Usta jej zadrżały, opuściła wzrok z powrotem na stół i irytująco dygoczącą, zimną ręką, objęła gorącą filiżankę.

– Jesteś jeszcze bardzo młodziutka, moja maleńka – powiedział cicho. – Kobieta dziecko, jak kwiat, co się zaczyna otwierać. Wczoraj wieczorem źle cię potraktowałem. To wszystko było za bardzo intymne. Powiedziałem ci kiedyś, że nie znoszę ograniczeń. Wszystko przez twoją słodką niewinność, która mnie poruszyła.

Spojrzała szybko na niego i ujrzała na jego kształtnych ustach delikatny, czuły uśmiech.

– Ja... bałam się zejść dzisiaj na dół – przyznała z wahaniem. – Och, Russell, co się dzieje? Ja tak nie chcę. Nie chcę ciągle z tobą walczyć. Chcę, żeby było jak dawniej, kiedy byliśmy dobrymi przyjaciółmi... – wyrzuciła z siebie wzburzona.

– Chciałabyś cofnąć czas? – spytał, unosząc brew. – Po tym, jak się wczoraj całowaliśmy, Tish?

Zarumieniła się aż po cebulki włosów.

– Mówiłeś... że o tym zapomnimy – przypomniała mu, spuszczać wzrok.

– Nie potrafię. Za każdym razem, kiedy cię widzę, krew we mnie wrze – wyrzucił z siebie. – Chcę ci opowiedzieć o Lisie. Chciałbym, żebyś zrozumiała...

– Nie chcę tego słuchać! – krzyknęła, zrywając się z krzesła. – Frank! – zawołała, kiedy ten wszedł do pokoju. – Idziemy do stajni, a Russell i Belle dołączą do nas potem, dobrze?

Frank spoglądał to na kamienną twarz Russella, to na zaczerwienioną Tish podejrzliwie i nie bez zazdrości.

– W porządku. – Pozwolił się jej wyciągnąć na zewnątrz.

– Co właściwie cię z nim łączy? – pytał, gdy czekali przy osiodłanych koniach na Russella i Belle.

– Jest dla mnie jak brat – odpowiedziała wymijająco. Spozregła nadjeżdżający samochód. – To mi wygląda na wóz Nany – mruknęła.

– Brat... a może coś jeszcze? – dopytywał się.

– Tish, nie podoba mi się, jak na ciebie patrzy. Kiedy tego nie widzisz, wygląda to tak, jakby pożerał cię wzrokiem.

Zarumieniła się.

– Ponosi cię wyobraźnia, Frank.

– Wcale nie. Gdyby się z tobą ożenił, to wszystko dostałoby się jemu, tak? – spytał znacząco, zataczając ręką krąg i wskazując posiadłość.

Wyglądała na kompletnie zaszokowaną.

– Co takiego? – Jego arogancja wstrząsnęła nią. Na dodatek zaatakował Russella. – To ja jestem tu obca, a nie Russell – zaczęła chłodno. – Jak ci powiedział, mój ojciec zginął w wypadku, ale to nie jest

cała prawda. Powiem ci wszystko. Mój ojciec był dzierżawcą, farmerem, który pracował nie na swoim i mieszkał przeważnie w domach z gołymi podłogami z desek, ciekącymi dachami i dziurami w ścianach! Mój ojciec nie miał nic! Ubrania, które noszę teraz, są warte więcej niż wszystko, co kiedykolwiek posiadał. Gdyby nie Russell, mieszkałabym w sierocińcu. I też nie miałabym nic!

Frank pobladł jak kreda.

– Ty... dziedziczysz, prawda?

– Małą część – powiedziała chłodno. – Dom po moim ojcu, ziemię, na której pracował i niewielką rentę. To wszystko, na co się zgodziłam.

Spojrzał na nią nagle zimnymi oczami.

– Mogłaś mi o tym powiedzieć.

– Dlaczego? – spytała, broniąc urażonej dumy. – Frank, sądziłeś, że dziedziczę fortunę i to majątek tak cię we mnie pociągał, kochanie?

Zanim zdołał znaleźć jakąś odpowiedź, małe, sportowe, czerwone auto zajechało pod stajnię. Nana Coleman wysiadła, włosy miała w nieładzie, oczy błyszczące. Podeszła do Tish i Franka.

– Cześć. Byłam w sąsiedztwie i pomyślałam, że wpadnę do was, żeby poznać twoich gości – powiedziała z szelmowskim uśmiechem. – Ty pewnie jesteś Frank. Dużo o tobie słyszałam!

Podał jej rękę z uprzejmym uśmiechem.

– A ty jesteś Nana... Coleman, jeśli się nie mylę?

– Nana i jej ojciec są właścicielami posiadłości, która sąsiaduje z twoją – powiedziała z rozmysłem Tish. – Ich farma jest trzecia co do wielkości w całym hrabstwie.

– Russell dostał niecałe dwie trzecie reszty – ze śmiechem oznajmiła Nana. – Frank, ty i twoja siostra będziecie musieli wpaść do mnie któregoś przedpołudnia na kawę, jeśli Tish nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Jutro przenosimy się do Bright Meadows – odpowiedział chłodno, ale uprzejmie Frank. – Jestem jednak pewien, że moja siostra i ja będziemy zachwyceni.

Nana wyglądała na zdziwioną. Spojrzała na Tish z pytaniem w zielonych oczach.

– Frank i ja jesteśmy przyjaciółmi – stwierdziła z naciskiem Tish. – Prawda, Frank? Nic więcej?

Wyprostował się.

– W samej rzeczy – odpowiedział oficjalnym tonem.

Zdziwiona Nana uniosła brwi, ale nim zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, Tish dosiadła konia.

– Pojedź z nami – zaproponowała. – Jeśli poprosisz Russella o konia, na pewno ci go da. Ja pojedę przodem.

– Dzięki – odpowiedziała Nana, spoglądając z namysłem na Franka. – Chyba skorzystam.

Tish wykręciła małym, srokatym wałachem i ruszyła w stronę konnej ścieżki. Mijając stajnię, zauważyła, że Russell i Belle nadal są w środku. Blondynka stała bardzo blisko niego, obejmując go rękami za szyję. I właśnie wtedy, kiedy Tish im się przyglądała, Belle wspięła się na palce...

Tish uderzyła wałacha piętami, pochyliła się nisko nad końskim kłębem i pomknęła smagana po twarzy wiatrem niczym cienkimi różgami.

Oczy jej zasłyły mgłą, a w sercu poczuła taki ból, jakiego wcześniej nie знаła. Russell, Russell, zawsze Russell. Każda myśl o nim wywoływała w

niej trudną do wyobrażenia tęsknotę, jakby cała dusza Tish była w żałobie. Od jak dawna, rozmyślała, sama sobie nie wierząc, była w nim zakochana? Miłość...

– Nie! – wyszeptała chrapliwie. Zacisnęła piekące bólem oczy. – Nie, to niemożliwe! Mieszkam z nim całe moje życie i kocham go, ale na Boga, nie mogę być w nim zakochana... mogę?

Jednak była. Zakochana po uszy, pożądliwie, szaleńczo. Tak bardzo, że mogła myśleć już tylko o jednym. O Russellu. O jego włosach mieniących się w słońcu czernią. O ciemnych, śmiejących się do niej oczach. O Russellu, który obejmował ją silnymi ramionami i uczył jej usta tego, że pocałunki to coś o wiele więcej niż zetknięcie warg. O Russellu, który należał do Lisy, i który nigdy, przenigdy nie będzie należał do niej...

Ta prawda uderzyła ją jak obuchem. Nie było przed nią żadnej obrony. Naga, zabójcza prawda.

Łkając rozpaczliwie, Tish skręciła koniem. Była tak oślepią łzami, że nie zauważyła, jak bardzo ścieżka zbliżyła się do szosy. Pognała konia jeszcze szybciej, aż skoczył przez rów prosto pod koła pędzącej furgonetki. Pisk hamulców i przeraźliwy kwik konia były ostatnimi dźwiękami, które usłyszała...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W piersiach czuła nieprzyjemny ucisk. Próbowwała oddychać, ale nawet tak niewielki wysiłek okazał się niemal ponad jej siły. Tępy, ćmiący ból czuła w całym ciele.

Uniosła ciężkie powieki. Początkowo widziała tylko zimną, obcą biel, a po jakimś czasie zarys krzesła. W nim skuloną, niewielką postać. Rozpoznała bladą, okrągłą twarz.

– Eileen – szepnęła z wysiłkiem. Dziewczyna uniosła głowę.

– Tish! – Zerwała się z krzesła i czym prędzej podeszła do łóżka.

Oparła się o poręcz, sięgając jedną ręką do dłoni Tish. Uścisnęła ją ze łzami w brązowych oczach. – Och, dzięki Bogu, nie jest źle – wyszeptała. – Tak się obawialiśmy... Muszę zaraz zadzwonić do domu. Przyjechali Baker i Mindy.

– Baker przyjechał? – zapytała z wysiłkiem. – Nie powinien, jego serce...

– Dzikie konie go nie powstrzymają, on musi cię zobaczyć. Poza tym, czuje się już o wiele lepiej. On i Mindy wyglądają teraz o całe lata młodziej.

– Uśmiechnęła się.

Tish rozejrzała się po pokoju.

– A Russell? – spytała przejmującym głosem.

– Odkąd przywieziono cię do szpitala, był tu cały czas. Dopiero mniej więcej godzinę temu Baker kazał mu odpocząć. Tish, pamiętasz, co się stało? To wyglądało tak, jakby srokaty wyskoczył na drogę pod koła furgonetki.

– Ja jej... nie widziałam.

– Niewiele brakowało, a Russell zabiłby Franka Tylera – powiedziała cicho Eileen. – Frank cały czas powtarzał, że to jego wina, że zranił twoje uczucia i to przez niego popędziłaś... Powiedział to o jeden raz za dużo i Russell ulokował pięść na jego nosie. Wczoraj pojechał z siostrą do domu. Bardzo chciał cię odwiedzić, coś wyjaśnić, ale Russell mu zakazał.

– To... nie była wina Franka – szepnęła Tish, krzywiąc się z bólu, gdy spróbowała się unieść na poduszce. – Dlaczego Russell go uderzył? Co go to obchodzi!

– Co go obchodzi? – oburzyła się Eileen. – Tish, Russell był pierwszy przy tobie. Boże, on po prostu oszalał! Nigdy nie widziałam nikogo w takim stanie. Kierowca furgonetki nawet nie był zadraśnięty, ale trzeba było Gusa i Franka, żeby odciągnąć Russella od niego. Potem usiadł przy tobie i sanitariusze z karetki mieli z nim sporo kłopotów, ponieważ nie mogli go odciągnąć od ciebie. – Zachlipała. – Kiedy zajmowano się tobą na izbie przyjęć, byliśmy tam cały czas i czekaliśmy. Russell siedział ze wzrokiem utkwionym w drzwiach i palił. Nie odezwał się ani słowem. Ani... jednym słowem. A kiedy powiedziano nam, że wyjdiesz z tego, on... – Głos jej się załamał. Pokręciła tylko głową.

To kompletnie bez sensu, myślała Tish, oszołomiona lekami i bólem. Russell nie chciał zrezygnować z Lisy i jednocześnie nie chciał, żeby ktokolwiek inny miał ją...

– Nie mogę... nie mogę myśleć. Bardzo jestem potłuczona?

– Mnóstwo siniaków, kilka dość głębokich ran, i dwa złamane żebra.

– Eileen uśmiechnęła się ze współczuciem. – Nie wspominając o powikłanym złamaniu lewej nogi pod kolanem. Ale żyjesz! Czy to nie cudowne?

– Byłoby o wiele bardziej cudowne – szepnęła Tish – gdyby tak bardzo nie bolało. Jestem taka głodna...

– Przyślę tu tacę. Muszę trochę podzwonić, ale zaraz wrócę, dobrze?

– Dobrze – odparła sennie Tish.

Potem zapadała w sen i budziła się na przemian. Kiedy nie spała, rozmyślała o dziwnym zachowaniu Russella. Może miał poczucie winy, a to coś by tam wyjaśniło. Choć czasami zdawało jej się, że naprawdę coś do niej czuł, jednak swoje prawdziwe uczucia zachowywał wyłącznie dla siebie.

– Kochanie? Nie śpisz? – dobiegł ją łagodny, znajomy głos.

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy, i ujrzała i szczupłą twarz Mindy. Mimo zmarszczek wokół¹ dużych, błękitnych oczu, nadal była piękną, której udało się pokonać zawzięty upór Bakera, gdy ten, po stracie matki Russella i Eileen, zdecydował, że już nigdy się nie ożeni. Miłą twarz okalały jedwabiste, siwe włosy.

– Mindy! – Wyciągnęła do niej rękę i boleśnie zajęczała.

Objęła ją delikatnie, żeby nie urazić złamanych żeber.

– Moje drogie dziecko, coś ty zrobiła? – wyszeptała zbolalym głosem.

– Dokonała wyczynu w stylu cholernych Currie, ot co – zażartował Baker, a Tish ujrzała za plecami Mindy ciemne oczy Russella, ale w starszej, pomarszczonej twarzy jego srebrnowłosego ojca.

– Witaj, Baker. – Uśmiechnęła się z trudem, a Mindy odsunęła się, żeby mógł się pochylić i ucałować blady policzek.

– Wystraszyłaś nas, wiesz o tym – powiedział pogodnie, choć minę miał zatroskaną. – Jak mówi twój lekarz, miałaś cholerne szczęście, że przeżyłaś.

– Czuję się, jakbym została pobita – z sennym uśmiechem powiedziała Tish.

– Nie wątpię. – Potargał ją po włosach dużą, żylastą dłonią. – Russell ciągle jeszcze śpi. Cholernie mało brakowało, a zdzierliłbym go pięścią, żeby go stąd wyrzucić. A kiedy zadzwonił ten chłopak, Tyler, i pytał, jak się czujesz, musiałem zatkać Mindy uszy! O co tu chodzi, do diabła?

– Frank i jego siostra, Belle, byli u nas kilka dni. Pamiętasz, mówiłam ci o tym – powiedziała. – Przy stajniach między mną a Frankiem nastąpiło małe... nieporozumienie, kiedy czekaliśmy na Belle i Russella, aż się przestaną obściskować i wyjdą ze stodoły – dodała z goryczą.

– Dziewczyno, tak mówisz, że się pogubiłem. – Baker westchnął zdezorientowany. – Russell miałby się dać omotać jakiejś kobiecie? Przecież przysięgał, że nigdy do tego nie dopuści... z powodu Lisy.

– Ludzie się zmieniają – powiedziała z przekąsem. – O rany, jak boli – szepnęła. – Baker, przepraszam, dłużej nie mogę. Muszę się wyłączyć, leki zaczynają działać... bardzo mnie boli!

– W porządku, dziewczyno, odpocznij. Ale kiedy poczujesz się lepiej – powiedział cicho – chciałbym, żebyście mi coś wyjaśnili. Ty, mój syn albo najlepiej oboje.

Po tym nieprzyjemnym ostrzeżeniu zapadła w sen.

Unosiła się, płynęła i znalazła się w ciemnościach bez światła czy koloru. Poprzez tę ciemność wyczuła w oddali blask tęczy i kiedy się odwróciła, stał tam Russell, rosły i przerażający. Próbowwała się cofnąć, ale

jego oczy jak czarne magnesy przyciągały ją bliżej i bliżej. I nagle, gdy była już blisko niego, zdało jej się, że jakieś światło rozbłysło w jego nieprzeniknionej twarzy. Uśmiechnął się i wyciągnął do niej ramiona...

– Russell – wyszeptała. Jej głowa niespokojnie rzucała się na poduszce. Ciemne włosy rozsypały się po białej poszwie. – Russ... !

Poczuła uścisk dużej, ciepłej dłoni, mocny i uspokajający.

– Jestem tutaj, mała. Co ci jest?

Pod wpływem tego niskiego, schrypniętego, kochanego głosu, jej oczy otworzyły się. Widziała go jak przez senną mgłę. Siedział na krześle obok łóżka. Zwilżyła suche usta, a jego wymizerowana, napięta twarz, na której troska wyźłobiła nowe bruzdy, z wolna wypełniła jej pole widzenia.

– Było... bardzo ciemno – tłumaczyła mu jak najpoważniej. – A ja nie mogłam cię dosięgnąć.

– Teraz jestem tutaj. – Jego udęczone oczy pociemniały od ogarniających go uczuć.

Westchnęła i skrzywiła się. Każdy głębszy oddech przysparzał jej cierpienia.

– Boli – szepnęła.

– Wiem. – W jego głębokim głosie także słychać było ból, choć inny.

– Dlaczego tak pognałaś swego konia? Dlatego, że widziałas, jak Nana Coleman popisowała się przed twoim chłopakiem? A może dlatego, że zobaczyłaś mnie i Belle w stajni?

Gdy czekał na odpowiedź, wyczuwała w powietrzu napięcie.

– Coś... mi wpadło do oka – wyszeptała wymijająco. – Pieprzyk wyskoczył na drogę... Russell, co z Pieprzykiem?

– W zderzeniu z autem doznał wielu obrażeń – zaczął łagodnie. – Nie miałem wyboru, Tish. Musieliśmy go zastrzelić.

Wybuchła płaczem, więc podał jej chusteczkę.

– Nie, tylko nie to... Nie! To moja wina... !

– Ty żyjesz – powiedział chropawym głosem.

– I tylko to ma znaczenie.

Oddała mu chusteczkę, przypominając sobie ból, który sprawił jej widok Belle w jego ramionach. Ale strata Pieprzyka też bardzo bolała. Coś jej chodziło po głowie, coś, co Eileen powiedziała o Franku...

– Dlaczego nie pozwolisz Frankowi, żeby mnie odwiedził? – spytała nagle.

Usta mu się zacisnęły w linijkę. Zmrużył powieki.

– Ty byś mi tego nie zdradziła, ale, na Boga, on się przyznał. Że powiedziałaś mu prawdę, a on nie mógł tego znieść. Zaczął się wycofywać. I jeśli jest to dla ciebie pocieszeniem, bardzo spokorniał.

– Dlatego, że mu złamałeś nos, czy że ma poczucie winy? – spytała z ironicznym uśmiechem.

Minę miał cokolwiek nietęgą, umknął wzrokiem.

– Sam się o to prosił. Uścisnęła go mocno za rękę.

– Nie warcz tak. Nikt tu nie zawinił. Nadal jesteś moim najlepszym przyjacielem? – Uśmiechnęła się łagodnie, nie zdając sobie sprawy, że w oczach, kiedy na niego spojrzała, ukryła całe swoje serce.

– Tego chcesz? – spytał łagodnym szeptem. – Czy tak chcesz, by było między nami?

– Jest przecież... Lisa – mruknęła bezsilnie i odwróciła oczy.

– Boże, tak, a ty, mała świętoszko, nigdy tego nie przebolejesz, co? –
Błysnął przymrużonymi oczami i wstał. – Wrócę tu później.

– Nie! – błagała go. – Russ, nie... !

Nabrał ciężko powietrza z takim wyrazem twarzy, jakby była wykuta z kamienia.

– Pozwolę Tylerowi, żeby cię odwiedził. To powinno przywrócić ci rumieńce.

– Nie wariuj, nie wychodź stąd w takim stanie, Russ, proszę –
wyszeptała przez łzy.

– Lutecio, nie przeginaj – powiedział ledwie słyszalnym głosem. –
Nie możesz mieć wszystkiego naraz.

Po jej policzku popłynęła samotna łza.

– Russ...

– Boże, twój płacz rozdziera mi serce! – szepnął ze złością,
pochylając się, żeby scałować tę łzę. Ciepłymi ustami delikatnie pieścił jej
przymknięte powieki. – Nie wariuję, kochanie, i bądź cicho. Sza.

Wydeła drżące usta i popatrzyła na niego oskarżycielsko.

– Jesteś wielkim despota – wyszeptała. – Ale nie chcę się z tobą
kłócić.

– Jasne, nie chcesz się kłócić, tylko chcesz wymazać miniony rok i
zacząć od nowa. W porządku, Tish, możemy tak zrobić. Bóg jeden wie, że
nie ma dla nas innej przyszłości. Poza Tylerem co mam ci jeszcze
dostarczyć?

Sprawił jej tym przykrość, ale wołała nie okazywać bólu.

– Naprawdę pozwolisz, żeby tu przyszedł?

– Jeśli chcesz go widzieć. Więc jak?

Skinęła głową.

– W porządku. – Chociaż usilnie się starała, niczego z jego twarzy nie umiała wyczytać. – Powinnaś była przyglądać się nam kilka sekund dłużej – powiedział, kierując się ku drzwiom. – Odepchnąłem ją.

– Masz na myśli ją... – Pytanie cisnęło jej się na usta i nie umiała się powstrzymać.

– Znasz mnie na tyle dobrze, że sama sobie odpowiedz. Nie znoszę nic niewartych, nachalnych kobiet. – Mówiąc to, tak długo i tak bezczelnie mierzył wzrokiem jej przykryte kocem ciało, że przeszedł ją zimny dreszcz. – A poza tym czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy – spytał cicho – że przyjaciele zwykle nie są o siebie zazdrośni w ten sposób?

Z tymi ścinającymi krew w żyłach słowami i nikłym uśmiechem na nieprzeniknionej twarzy otworzył drzwi i wyszedł. Patrzyła za nim. Rosły, sylwetka wyprostowana. Porażająco atrakcyjny.

Kiedy odwiedził ją Frank, starała się nie zwracać uwagi na jego okropny, czerwono–siny nos i opatrunek.

– Hm... nadziałem się na... twojego Russella, i tyle – mocno zmieszany tłumaczył swój wygląd. – Tish, zachowałem się wobec ciebie jak okropny głupiec i bardzo cię za to przepraszam. Oczywiście to nie pieniądze mnie w tobie pociągają. Chciałbym, żebyś to wiedziała, i że bardzo mi przykro.

– W porządku – odpowiedziała łagodnie.

– Czy mógłbym cię czasami odwiedzać? Możemy nadal być przyjaciółmi? – spytał cicho.

Z niejakim zadowoleniem spostrzegła, że chociaż spoglądał na nią życzliwie, to jego oczy nie wyrażały żadnych głębszych uczuć.

– Czemu nie, oczywiście, że możemy – powiedziała z uśmiechem.

Odwzajemnił uśmiech i pochylił się, by dotknąć jej ust swoimi. W tym momencie drzwi się otworzyły i wszedł Russell.

– Aha, dzień dobry panu, panie Currie – przywitał go wyraźnie wylekniiony Frank.

– Nie przeszkadzajcie sobie – odparł beznamiętnie. – Tish, doktor Wallace stwierdził, że jutro możesz wracać do domu. Baker i Mindy przyjadą po ciebie.

– Nie ty? – spytała mimo woli.

– Jadę do Jacksonville... do Lisy – odpowiedział niespiesznie, ona tymczasem poczuła, że blednie. – Żeby ją przywieźć do domu – dodał, mrożąc ją wzrokiem, by się nie ważyła odezwać.

– Przyjemnej podróży – powiedziała oziębło przez zaciśnięte zęby, z trudem się opanowując. Tylko pociemniałe z bólu oczy zdradzały, jak bardzo musi cierpieć.

– Zobaczymy się, kiedy wrócę – powiedział.

– Nie liczyłabym na to. Wątpię, czy tu zostanę. Zmrużył groźnie oczy.

– Cholernie jesteś małostkowa.

– Ja jestem małostkowa? – spytała. – A ty, licząc na to, że jedna z nas zechce mieszkać z tą drugą pod jednym dachem, strasznie niby jesteś wielkoduszny!

Jego oczy zdawały się eksplodować.

– Prędzej ona niż ty, złotko – powiedział z zimnym uśmiechem i wyszedł.

Cała się zatrzęsała ze złości. Do oczu napłynęły jej piekące łzy, a serce zamierało...

– Tish, bardzo mi przykro – powiedział cicho Frank. – Naprawdę mi przykro.

– Och, Frank, mnie też – szepnęła, połykając łzy.

– Wiesz, że Russell wraca dziś wieczorem? – spytał ją Baker następnego popołudnia. Tish była już w domu zamknięta w swoim pokoju jak w azylu, ale Baker uznał, że najwyższa pora, by trochę zakłócić jej spokój. – I zanim tu przyjdzie, Lutecio Peacock, chciałbym wiedzieć, co się dzieje między tobą a moim synem.

Jej policzki poczerwieniały nagle.

– Nic się nie dzieje. Po prostu kłócimy się trochę więcej niż zwykle – powiedziała.

– Nie wciskaj mi kitu, dziewczyno! Odkąd wróciłem do domu, Russell tak często się denerwuje, że już zapomniałem, jak dawniej znakomicie się kontrolował. Jest ciągle rozdrażniony i za każdym razem, kiedy go pytam dlaczego, robi się cały czerwony ze złości i zaczyna kłać jak szewc. Czy to z powodu tego chłopaka, Tylera? Czyżby mój syn nagle przejrzał na oczy i zauważył, że wyrosłaś na bardzo atrakcyjną kobietę, Tish?

– Wiesz przecież, że Russell jest bardzo skryty i nie zwierza się z tego, co czuje – powiedziała, międląc w palcach rąbek ślicznego prześcieradła w żółte kwiatki.

– Czy on wie, że ty go kochasz? – zapytał cicho Baker.

Wydała stłumiony krzyk protestu.

– Baker! Ależ skąd! On zawsze był dla mnie jak... jak brat!

Pokręcił głową.

– Ta cholerna duma Peacocków – zaczął zrzędzić. – Prędzej umrzesz, niż się do tego przyznasz, prawda?

– Nie mam się do czego przyznawać.

– Diabła tam, nie masz. Eileen wszystko mi powiedziała – odparł stanowczo.

Spojrzała na niego z płonącymi policzkami.

– Jak mogła? – jęknęła.

– Po pierwsze to ja całe lata modliłem się o coś takiego – powiedział łagodnie. – A po drugie, nie było cię w domu całe dwa lata, więc kiedy wróciłaś, nagle zobaczyłem, że jesteś już dorosła...

– Owszem, zobaczyłem, ale jeśli cokolwiek do mnie czuje, to tylko pociąg fizyczny. Na razie jednak jest mu po prostu przykro, ponieważ miałam wypadek, a on myśli, że to przez niego, bo widziałam go w stajni z Belle Tyler. Poza tym – dodała ostro

– zapomniałeś, że jest jeszcze Lisa?

– A co ona ma wspólnego z czymkolwiek, co się dzieje między tobą a Russellem? – zapytał, unosząc w zdziwieniu brwi.

– Wszystko! Nie mam zamiaru dzielić się nim z... jedną z tych kobiet!
– dokończyła bezsilnie, pomagając sobie gestami.

Baker ku jej zdumieniu wybuchł śmiechem.

– Kto ci o niej powiedział? – zapytał w zamyśleniu. Wzruszyła ramionami.

– Pewnego wieczoru Eileen przypadkiem podsłuchiła waszą rozmowę. Russell mówił ci o tym, jak bardzo ją kocha i w ogóle. Według Eileen cała ta historia jest szalenie romantyczna. Dlaczego on się z nią nie ożeni?

– Kochanie, wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli wkrótce sama odpowiesz sobie na to pytanie. Taka mała lekcja powściągliwości, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków – odparł tajemniczo.

– Baker, wolałabym wiedzieć, o czym mówisz!

– Poczekaj, aż przyjadą do domu.

– Nie... nie chcesz chyba powiedzieć, że ona ma tu przyjechać?

– Ja też ją kocham – powiedział łagodnie. Odwróciła się do okna bezgranicznie zdziwiona.

– Ale dlaczego on... przywozi ją do domu?

– Dlatego, że jej ciotka wychodzi za mąż i nie będzie komu się nią opiekować. Ale to już wszystkie informacje, które ode mnie wyciągnęłaś. – Wstał i wyszedł, mrugając do niej z uśmiechem.

Tish nie posiadała się ze zdumienia, aż nagle pomyślała, że z tą kobietą musi być coś nie tak. Niewidoma albo nie może chodzić? Natychmiast zaczęła się od nowa zadreć, wyobrażając sobie, że będzie zmuszona patrzeć, jak Russell z tą kobietą spaceruje, jak ją obejmuje i ile jest miłości w tych jego ciemnych oczach. Chciało jej się płakać.

Najgorsze było wyczekiwanie. Gapiała się w przenośny kolorowy telewizor, niczego właściwie nie widząc. Próbowwała słuchać radia, ale to było jeszcze gorsze. Nie mogła czytać, bo nie potrafiła się skupić. Eileen wpadała do niej na pogawędki, ale na różne uwagi nastolatki odpowiadała bardzo mętnie.

– Tish, ty mnie w ogóle nie słuchasz! – denerwowała się Eileen. – Wiem – dodała, wzdychając żałośnie. – Chodzi o Lisę? – spytała cicho.

– Tak...

– Żałuję, że zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Ale nie gniewasz się na mnie, że wypaplałam Bakerowi, co? Kiedy chce się czegoś dowiedzieć, jest straszny. Pod tym względem ojciec i brat są do siebie bardzo podobni.

Tish uśmiechnęła się słabo.

– Wiem o tym.

Naraz w holu dały się słyszeć jakieś głosy, między innymi Russella. Tish zamarła, zeszywniała i czekała z rozszerzonymi, znieruchomiałymi oczami.

– W porządku – uspokajała ją Eileen. – Wyjdę i zatrzymam ich, aż się pozbierasz.

W odpowiedzi zdołała tylko skinąć głową, tak mocno biło jej serce, gdy wlepiała wybałuszone oczy w drzwi, jakby miała w nich ujrzeć wampira.

Wydawało jej się, że cała wieczność minęła, zanim głosy na zewnątrz ucichły i drzwi otworzyły się. Russell wszedł do środka, zostawiając je otwarte na oścież. Z rękami schowanymi w kieszeniach, od niechcienia, ale badawczo, przyjrzał się jej szczupłej, przykrytej kocem sylwetce. Twarz miał jak wykutą z kamienia, a w zmrużonych oczach była tylko pogarda.

Przypomniała sobie ich ostatnią wymianę zdań, złość i ból. „Prędzej ona niż ty” – powiedział jej wtedy, a teraz nadszedł na to czas. Czowała w sobie boleść nic niemającą wspólnego ze złamanymi żebrami.

– Witaj – przywitała go cicho, niepewnie. Już nie chciała się kłócić. Żadnego buntu już w sobie nie czuła, tylko przemożną chęć ucieczki. Ale nie miała gdzie i w jej oczach była już tylko rezygnacja.

– Witaj – odparł spokojnie. – Lepiej się czujesz?

– Trochę.

– Chcę, żebyś ją poznała – powiedział z naciskiem. – Lisa, chodź tutaj, kochanie.

Tish przygotowała się na coś w rodzaju wytwornej, superkobiecej, niebezpiecznej kusicielki w typie Belle Tyler. Wcale nie tęskniła do widoku kobiety, która sprawiała, że rysy Russella miękły i łagodniały, tak jak i teraz, kiedy spoglądał za drzwiami. Drzwi otworzyły się jeszcze trochę i weszła Lisa.

Była bardzo małą, chińską laleczką z długimi, czarnymi, kręconymi i opadającymi na plecy włosami. Miała brzoskwiniową cerę i wielkie, wystraszone, brązowe oczy. Nie mogła mieć więcej niż osiem lat. To było dziecko! Podobne do Russella jak dwie krople wody...

Tish poczuła pod powiekami piekące łzy. Łzy wstydu i pogardy dla samej siebie; to było wszystko, co mogła zrobić, żeby je powstrzymać.

– Moja córka – powiedział cicho Russell, głaszcząc wielką ręką miękkie włosy dziewczynki z takim uczuciem na twarzy, które sprawiało, że zdawał się młodszy i mniej onieśmielający. – Nazywa się Maria Lisa.

– Witaj, Mario Liso – powiedziała Tish ochryłym głosem i uśmiechnęła się niepewnie. – Jesteś bardzo podobna do swojego taty.

Russell przyglądał się jej twarzy tak intensywnie, że wołała tego nie widzieć. Grymas niezadowolenia marszczył jego czarne, ciężkie brwi.

– Ty oczywiście wiedziałaś o niej, tak?

Co innego mogła zrobić, jeśli nie skinąć głową? Powiedzieć prawdę? Prawda była zbyt oczywista. Równie dobrze mogłaby wejść na dach i krzyczeć, że go kocha i była potwornie zazdrosna, bo myślała, że chodzi o inną kobietę.

– Oczywiście – odpowiedziała zdławionym szeptem, nie spuszczać oczu z Lisy. – Czy lubisz konie? – spytała ją.

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało, ściskając Russella za rękę.

– Tak, bardzo. Nie mogliśmy trzymać konia, bo mieszkaliśmy w apartamencie i nie mieliśmy siana – tłumaczyła z powagą. – Ale tatuś przyrzekł mi, że dostanę kucyka, jeżeli obiecuję, że będę o niego dbać. Lubisz konną jazdę?

Tish uśmiechnęła się blado.

– Ostatnio nie za bardzo, bo się boję. Wiesz, spadłam z konia – powiedziała, starając się nie myśleć o wypadku i o przerażeniu. – Potłukłam się, ale teraz czuję się lepiej.

– I już nie chcesz jeździć?

– Będiesz znowu jeździć – powiedział Russell tonem nieznoszącym sprzeciwu. Jego ciemne oczy dotykały jej włosów, policzków, ust. – Będiesz jeździć ze mną.

Przełknęła ślinę, a pod bawełnianą, nocną koszulą jej serce biło jak szalone. Spojrzała Russellowi w oczy i nagle cała złość znikła, wszystkie złe słowa odeszły w zapomnienie. Kochała go tak bardzo...

– Twoje oczy mówią same za siebie, mała dziewczynko – powiedział łagodnie, przeciągle, głębokim głosem.

Zarumieniła się, wracając wzrokiem do Lisy, która przyglądała jej się ciekawie.

– Lisa, lubisz wędkowanie? – spytała dziewczynkę.

– Tak, ale nie lubię zabijać robaków.

– Będę je zabijać dla ciebie – zaoferowała się Tish. – Pewnego dnia, kiedy już będę mogła chodzić, pójdziemy na ryby, jeśli zechcesz.

Lisa skinęła głową.

– A czy tatuś może pójść z nami?

– Tatuś pójdzie tylko wtedy – zastrzegł z niewinnym uśmiechem Russell – jeśli Tish obieca, że co najmniej przez pełne dwie godziny nie będzie gadać i płoszyć nam ryb.

Wyprostowała się w łóżku z oburzoną miną.

– Jeszcze nigdy nie gadałam przez dwie pełne godziny i nie płoszyłam żadnych ryb!

– Diabła tam, nie gadałaś. Nie pamiętasz, jak ostatnim razem, właśnie na rybach, opowiedziałaś mi całe życie swojej przyjaciółki Lillian, z którą mieszkałaś w akademiku?

– W żadnym wypadku! – zaprotestowała Tish. – Mówiłam ci tylko o superjaguarze XKE, który kupił jej ojciec.

– I o linii produkcyjnej pączków tegoż ojca, i o bracie Lillian, który sprzedaje sprzęt elektroniczny dla Western Engineering, i o...

– Ale mnie słuchałeś, nie tak było? – odparowała z irytacją. – I wcale nie kazałeś mi się zamknąć, tylko słuchałeś, słuchałeś, słuchałeś...

Zachichotał cicho.

– Boże, gdybyś ty siebie widziała – powiedział łagodnie. – Te twoje pociemniałe oczy, jakby się zbierało na burzę, i te twoje zaróżowione policzki...

– Śmiech zamarł na jego ustach, a w spojrzeniu, które jej rzucił, pojawiło się nagle coś groźnego. – Wysłuchasz mnie, jeśli ci opowiem o Lisie?

– Bardzo... bardzo bym chciała czegoś się o niej dowiedzieć – wydukała.

Już zaczynał mówić, gdy obok jej łóżka rozległ się brzęczyk interkomu. Niecierpliwie wcisnęła guzik z napisem „połącz”.

– Tu buduar panny Peacock – poinformowała pretensjonalnym głosem, a Lisa zachichotała.

– Z pewnością czałujący – błaznowała Eileen.

– Moja dłoga, zechciej odebrać telefon, bo twój ukochany dzwoni.

Fascynujący Flank z fałmy przy dłodze, moja dłoga.

Lisa znowu zachichotała, ale oczy Russella niemal eksplodowały.

Odwrócił się.

– Zobaczymy się później. Lisa, pora na nas.

– Ale tatusiu... – protestowała dziewczynka.

– Słyszałaś, co powiedziałem.

– Dobranoc, Tish – zawołała Lisa od drzwi.

– Dobranoc, Mario Liso. – Podniosła słuchawkę i odwróciła się, żeby

nie widzieć nagłego przyływu złości w lodowatym spojrzeniu Russella.

Kiedy przyłożyła słuchawkę do ucha, wyszedł z córką, nie mówiąc ani słowa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia Frank przyszedł do niej w odwiedziny z bukietem pięknych, świeżych, białych i amarantowych gerber daisy. Wspaniałe kwiaty podniosły ją trochę na duchu, ale wolałaby jedną gałązkę bobotrutki od Russella niż całą altanę róż od Franka. Jednak Russell od wczorajszego wieczoru w ogóle do niej nie zaglądał. Zaczynała się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek ją odwiedzi. Nawet Lisy nie było u niej, zupełnie jakby Russell nie życzył sobie żadnego kontaktu między nimi.

Frank poszedł sobie, a Tish leżała przygnębiona, gdy zjawił się Baker.

– Czy to z powodu tego młodego łobuza, który dopiero co stąd wyszedł, mój syn krąży wokół domu, buchając siarką, panno Tish? – zapytał ją z błyskiem w oku. – Jeśli sama tego nie zauważyłaś, to ja ci powiem, że coraz z nim gorzej.

– Zauważyłam – odpowiedziała smętnie. – Ostatnio potrafi tylko na mnie syczeć jak żmija. Ale nie, to nie Frank jest powodem, tylko ja. To znaczy to, co powiedziałam o Lisie...

– Przecież nic nie wiedziałaś – odrzekł Baker, podchodząc do jej łóżka, żeby ją uścisnąć. – Skąd mogłaś wiedzieć? Russell z nikim o swoim dziecku nie rozmawia. Nigdy o nim nie mówi. Powiedz mu to, Tish.

Uśmiechnęła się blado.

– Równie dobrze mogłabym mu powiedzieć, jak bardzo... – przerwała. – Baker, ja nie mogę.

– Tchórz.

– Tak, jestem tchórzem. Ja się go boję. Zawsze się go trochę bałam. On jest taki... zgryźliwie męski. Przez niego wszystko się we mnie kotłuje.

Wąskie usta Bakera nieco zadrgały, uniósł brew, ale spoważniał.

– Nic dodać, nic ująć. Właśnie takie rzeczy kobieta powinna czuć przy mężczyźnie.

Spuściła wzrok i zaczęła się przyglądać ślicznej, wzorzystej kapie.

– Nawet jeśli nie chodzi o to, co powiedziałam o Lisie, on ciągle myśli, że jestem za młoda. On... tak mi kiedyś powiedział – dodała, czerwieniąc się, ponieważ dokładnie pamiętała, kiedy jej to powiedział. Tamtego wieczoru, w kuchni.

– Czternaście lat to nie taka duża różnica – powiedział cicho Baker. – Ja jestem starszy od Mindy o siedemnaście lat i jest nam z tym dobrze.

Westchnęła.

– Możliwe, że tak. Och, Baker, tak mi źle. Zauważyłeś, że ani on, ani Lisa nie odwiedzili mnie dzisiaj?

– Russell widział Tylera, jak szedł do ciebie z bukietem kwiatów.

Wzruszyła ramionami.

– I co z tego?

– To z tego, że mój syn zrobił robotnikom piekło. Grover wpadł tu kilka minut temu cały spieniony i purpurowy na twarzy jak dojrzały melon. Powiedział mi, że Russell ma do niego bezpodstawne pretensje o to, że nie opryskał bydła przeciw robakom, ale to nie jego wina. – Zachichotał. – A było tak, że w zeszłym tygodniu Russell polecił mu najpierw dokończyć sianokosy, a dopiero potem opryskać zwierzęta. Z kolei dzisiaj rano bardzo chciał się dowiedzieć, dlaczego w ich skórze aż roi się od robactwa.

– Odbiło mu?

– Jeszcze nie skończyłem. Gdy już zmieszał Grovera z błotem, wybrał jednego z appsów do załadowania na przyczepę. Koń miał pokryć zarodową

klacz ze stada Jace'a Colemana. Grover wprowadził go do przyczepy i zaczął wiązać. Wtedy stwierdził, że to wałach Navaho. Chociaż – dodał Baker – muszę przyznać, że Navaho trochę przypomina ogiera Finestę.

– Wałach? – dopytywała się Tish, nie wierząc własnym uszom. – Do pokrycia klaczy zarodowej Russell miał zamiar wysłać wałacha?

– To nie jest całkiem normalne. – Baker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Co nie jest całkiem normalne?

Oboje unieśli głowy, słysząc dobiegający od drzwi niski, przygnębiony głos. Stał tam Russell. Bez cienia uśmiechu na twarzy, z kapeluszem nasuniętym nisko na czoło.

– Dzisiaj rano był u mnie Grover – pośpieszył z wyjaśnieniem Baker.

– Zamierza odejść i to twoja wina.

– Moja wina? – spytał Russell.

– Mówi, że nie jest pewien, czy chce pracować dla faceta, który nie widzi różnicy między ogierem a wałachem – z kamienną twarzą oznajmił Baker.

– Dobra, do diabła, nie mam czasu, żeby patrzeć pod brzuch każdego konia – warknął Russell. – Jeżeli masz chwilę, chcę przejrzeć spis krów, które przeznaczamy na ubój. A skoro o tym mowa – dodał, zsuwając kapelusz na tył spoczonej głowy. – Powinienem zadzwonić do Johna Matthews w sprawie opcji, którą nam zaproponował, a mianowicie żeby kupować z jego stada na Florydzie. Interesuje mnie, czy weterynarz stanowy wydał mu oficjalne zaświadczenia o szczepieniu. Nie zamierzam ryzykować starcia z Bangiem.

Tish nie nadązała i zmarszczyła brwi, ale Baker uśmiechnął się do niej.

– Chodzi o brucelozę. Jace Coleman stracił cholernie dużo pieniędzy, ponieważ kupił kilka krów bez takich zaświadczeń i zaraził stado.

– O rany.

– Sianokosy zakończone? – zapytał Baker, kierując się do drzwi. – Jeśli chcesz, żeby ci pomóc w opryskiwaniu bydła...

– Czym tu się przejmować? – spytał Russell przez zaciśnięte usta. – Myślałem, że wytluczemy to cholerstwo stosunkowo łatwo domowymi środkami.

– To zaledwie pięć tysięcy sztuk bydła – powiedział z miną niewiniątka Baker.

– Skoro Grover tak na mnie narzeka, to widocznie ma za dużo wolnego czasu – stwierdził ponuro Russell. – I jeśli nie podoba mu się moje zarządzanie, to może odejść.

– Powoli, synu...

– Nie mów mi „powoli, synu” – warknął na ojca, a potem spojrzał na Tish, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu. – A ty z czego tak rżysz?

– Ja? – spytała z urazą skrzywdzonej niewinności.

– Z niczego!

– Twój kochaś za długo tu nie zabawił. – Złym okiem łypnął na bukiet.

– Och, ale zapach pozostał... – Czule pogładziła kwiatki. – A ty nie ofiarowałeś mi nawet dmuchawca.

– Uniosła dumnie głowę.

– A po jaką cholere? – rozsierdził się. – Przecież kwiaty szybko umierają.

– Tak samo jak ludzie – odparła.

Coś błysnęło w jego oczach i przez ułamek sekundy widziała, jak musiała wyglądać jego twarz, gdy wiele lat temu stracił matkę. Teraz bez słowa wyszedł z pokoju z Bakerem deptającym mu po piętach.

Tego samego popołudnia, ale trochę później, wpadła do niej Mindy z jednym żółtym, ogromnym mleczem w wazonie z rżniętego kryształu w kształcie pączka.

– Nie wiem, co się dzieje z Russellem – powiedziała z westchnieniem, stawiając ów śliczny okaz na stoliku przy łóżku Tish obok jarmarcznego bukietu Franka. – Powiedział, by ci to wręczyć ze słowami, że czasem jeden mlecz może znaczyć więcej niż cały bukiet. Oczywiście zerwał go osobiście, co też miałam ci przekazać. A także to, że wybór był trudny, ponieważ wszystkie były przepiękne.

Tish próbowała się roześmiać, ale gardło miała zbyt ściśnięte. Łzy spłynęły jej po policzkach. To był najpiękniejszy kwiat, jaki kiedykolwiek dostała.

Dwa dni po tym, kiedy ostatni raz widziała Lisę, dziewczynka tuż przed snem cichcem wślizgnęła się do pokoju Tish. Świeżo po kąpieli, z włosami jeszcze lekko wilgotnymi, nieśmiało podeszła do łóżka.

– Tatuś stale mi powtarza, że nie powinnam ci przeszkadzać – szepnęła – ale muszę narysować kucyka i nie wiem jak. – Podała jej blok rysunkowy i ołówek. – Tish... ?

– No wiesz, nie jestem w tym taka dobra – odparła również szeptem i uśmiechnęła się. – Na pewno chcesz, żebym zabazgrała ci kartkę?

– Proszę.

– No dobrze. Chcesz usiąść obok mnie? – Przesunęła się, robiąc dziewczynce miejsce pod kołdrą. – To się robi jakoś tak...

– Jest bardzo dobry – stwierdziła Lisa, gdy Tish ostatnimi kreskami kończyła długogrzywego konika. – Mam zamiar nazwać mojego kucyka Wiatronogim, bo bardzo szybko biega.

– A jak wygląda?

– Jest żółty i ma długą grzywę i jest bardzo ładny, jak collie – opowiadała mała dziewczynka o dużych, żywych, ciemnych oczach. – Jest rasy melamino.

– Raczej palomino – poprawiła ją z uśmiechem.

– Tak, tak. Chciałam mieć srokatego kucyka, ale tatuś powiedział, że już nikt nie będzie jeździł na takich kucykach i dodał brzydkie słowo. Tish, dlaczego nie mogę mieć srokatego kucyka?

– Ja... nie wiem. – Czyżby dlatego, że kiedy miała wypadek, dosiadała srokacza? Czy to zrobiło na Russellu aż takie wrażenie?

– Zobacz, potrafię narysować królika – pochwaliła się Lisa. – Tish, patrz! – Narysowała kółko z uszami i wąsami i zachichotała.

Obserwując ją, przyglądając się tej baśniowej piękności, nagle dotarło do niej, że przecież dziewczynka musiała mieć matkę. Russell jest niechybnie jej ojcem, tak są do siebie podobni, nigdy jednak nie był żonaty, wiedziała to na pewno. Dla wielu mężczyzn nieślubne dzieci to normalka, jednak Russella cechowało tak silne poczucie odpowiedzialności, że na pewno ożeniłby się z kobietą, która nosiła jego dziecko. Przypomniała sobie plotki sprzed wielu lat, jeszcze z czasów jego pobytu w Wietnamie, o kobiecie, z którą był zaręczony.

– Tu jesteście, młode damy – powiedziała Mindy z uśmiechem, zaglądając przez drzwi. – Pora spać. Powiedz Tish dobranoc.

– Babciu, muszę? No dobrze. Ale nie mów tatusiowi, że tu byłam, bo on nie chciał, żebym przeszkadzała Tish, i się zdenerwuje.

– Dobrze, kochanie. – Mindy roześmiała się. – No chodź już.

– Dobranoc, Tish. Dziękuję ci za mojego kucyka.

– A ja ci dziękuję, że mnie odwiedziłaś. Jesteś tu mile widziana, skarbie. – Czują, że mała zdobyła jej serce. – Dobranoc.

Gdy dziewczynka wychodziła za Mindy, Tish spoglądała za nią z pewnym rozżaleniem. Dlaczego Russell nie chciał, by się spotykały? Nagle przypomniała sobie, jak bardzo gardziła „kobietą” o imieniu Lisa. I zrozumiała.

Odtąd Maria Lisa nabrała zwyczaju odwiedzania Tish na krótko przed snem, kiedy ojca nie było w domu. I tak oto dwie konspiratorki utrzymywały swoją przyjaźń w głębokiej tajemnicy przed Russellem. Dla Tish było to jak powrót do dzieciństwa i dawała dziewczynce całą swoją miłość przeznaczoną dla Russella.

Gdy była już na tyle silna, że mogła schodzić na dół, przy stole, podczas śniadania, Russell wspomniął mimochodem, że po południu bierze Lisę na ryby.

– Może się do nas przyłączysz? – beztróska zapytał Tish przy kawie, zapalając papierosa. – Będziemy trzymać się blisko drogi, więc nie będziesz musiała daleko iść.

Serce jej podskoczyło.

– Chciałabym... – szepnęła.

– Zanim wyjedziesz, mogłabyś częściej chodzić na ryby.

Podniosła głowę.

– Zanim wyjadę?

Jedna z czarnych brwi uniosła się wyżej.

– Na pewno pamiętasz, co mi powiedziałaś tego dnia, kiedy wyjechałem po Lisę, żeby ją przywieźć do domu? – spytał chłodno.

Zaczerwieniła się aż po cebulki włosów, gdy przypomniała sobie swoje słowa: „Nie będę z nią mieszkać pod jednym dachem!”. Niech Bóg w swej łaskawości jej wybaczy, pamiętała to aż za dobrze. Jak mogła tak powiedzieć?

– Baker, ty i Mindy wracacie wkrótce do Miami, czy tak?

Dotąd obserwował ich starcie w milczeniu, teraz jego oczy błysły rozbawieniem.

– Tak, wyjeżdżamy w ten weekend, i będziemy z powrotem na Boże Narodzenie.

– W takim razie jak w czasie największego nawału pracy zamierzasz poradzić sobie z opieką nad Marią Lisą i z farmą? – zapytała z kolei Russella. – Eileen ma szkołę, a Mattie o szóstej idzie do domu. Ty czasami przychodzisz nie wcześniej niż o ósmej albo dziewiątej.

W oczach Russella coś zabłysło, ale zapewne było to odbicie światła z żyrandola, bo jego twarz nie wyrażała niczego.

– Jeżeli chcesz zostać z nami do Bożego Narodzenia, to proszę bardzo. Nie krępuj się, to zależy tylko od ciebie – odpowiedział zza kłębów papierosowego dymu. – To tylko kilka tygodni.

Spuściła oczy na talerz.

– Ponieważ jutro jest Święto Dziękczynienia, w akademikach nie ma teraz nikogo.

– Dwa indyki w lodówce, ale ja tego nie widziałem – ząartował Baker.

Tish zdobyła się jedynie na słaby uśmiech.

– Chcesz jechać na ryby czy nie? – nalegał Russell.

– Tish, proszę – błagała ją Lisa, patrząc na nią takim wzrokiem, że zmiękłoby każde serce, nie tylko skołatane serce Lutecii.

Czuła, że dała się przekonać.

– Jeżeli chcesz, to pojedę – odpowiedziała łagodnie.

Dziewczynka rozpromieniła się.

– Będziemy kopać robaki? Opowiadałaś mi, jak je kopałaś, kiedy chodziłaś na ryby z tatusiem...

Odwróciła głowę, żeby nie widzieć gniewnej ciekawości Russella.

– Pewnie, że będziemy – odparła. – Chociaż raczej to ty będziesz je kopać, bo ja wciąż jestem trochę obolała.

– Ale ja jestem małą dziewczynką. – Lisa wybuchła śmiechem.

– Tylko posłuchajcie, jaki ma talent. – Tish wzniosła oczy do nieba. – Ma rąptem osiem lat, a już niejeden aktor do pięt jej nie dorasta.

– Mam talent? – dopytywała się podekscytowana dziewczynka.

– Oczywiście, że tak, kochanie. – Tish roześmiała się serdecznie.

Russell poprawił się w krześle i przyglądał się im, a Baker tymczasem usiadł wygodniej i rozpoczął stare rybackie opowieści.

Kiedy Lisa i Tish poszły za stajnie z wiadrem na robaki i szuflą, wiał zimny wiatr.

– Musimy być cicho – ostrzegła ją Tish szeptem. – Musimy się do nich podkraść.

– To robaki słyszą? – zdumiała się Lisa.

– Nie, ale musimy bardzo uważnie słuchać i kiedy kichną, wtedy je znajdziemy.

– Och, ty! – Lisa skrzywiła się i zamachnęła się na Tish małą, otwartą rączką. – Jesteś tak samo niedobra jak tatuś.

– A co on robi?

– Kiedyś, kiedy byłam mała – zaczęła z powagą Lisa – powiedział, że mogę zasadzić w ziemi piórko niebieskiej sójki i potem z tego wyrośnie ptasie dziecko. Byłam mała, więc mu uwierzyłam.

Tish roześmiała się. To było w stylu Russella, uwielbiał takie żarty. Przypomniała sobie, jak kiedyś mówił małej Eileen to samo. Westchnęła. Dzięki niemu jej dzieciństwo także wypełnione było zabawą. Brał ją na barana i grywali w piłkę na trawie przed domem. Tyle lat już minęło. Russel był dla niej ojcem, matką i bratem. Dla sieroty stanowił cały świat. A teraz... Spochmurniała. Teraz już w ogóle nie chce mieć z nią nic do czynienia. Stał się daleki i zimny, zupełnie jak ktoś obcy.

– Dlaczego jesteś taka smutna? – spytała Lisa.

– Żal mi tych biednych robaczek. – Wyglądała na jeszcze smutniejszą.

– Przecież wszystko jest w porządku...

– Nie jest w porządku, kochanie. Ich biedne rodziny muszą się pożegnać na zawsze, no i te pogrzebowe wydatki... !

– Łamiesz mi serce – powiedział Russell od drzwi stajni, patrząc, jak Tish schyla się i zamiera w bezruchu nad dołem pełnym robaków, trzymając szufłę w pogotowiu.

– Przecież ty nie masz serca – odpowiedziała z satysfakcją. – Każdy mężczyzna, który przesyła kobiecie dmuchawca...

– Kobięcie? – rzucił z intencją, której Lisa nie mogła zrozumieć.

Tish zarumieniła się i skupiła z powrotem na dole z robakami.

– Lisa, możesz przytrzymać to wiadro z przynętą?

– Daj mi to straszne narzędzie, bo znów wylądujesz w szpitalu –

warknął Russell, po czym wziął od niej łopatę, nabrał dwie duże szufle i wrzucił do wiadra. W czarnej ziemi wiły się tłuste, różowe dżdżownice. – Gdzie jest Tyler? – spytał chłodno.

– Dawno go nie widziałem.

– Nie wiem, ale jeśli jego nieobecność nie daje ci spokoju, to chętnie zgłoszę zaginięcie FBI... – zaczęła jak najpoważniej.

Spojrzał na nią rozbawionymi oczami.

– Smarkula – mruknął, co jednak zabrzmiało czule.

– Udreki starczego wieku – wyjaśniała Lisie.

– Kiedy miałam tyle lat co ty, byłam jego dzieciną. Teraz, skoro jestem dorosła, stałam się jego smarkulą. Mam wrażenie, że tamto określenie z dzieciństwa bardziej mi się podobało.

– Wszystko było wtedy łatwiejsze – powiedział Russell tajemniczo.

Podniósł wiadro. – Teraz zostało ci tylko jedno.

– Co takiego? – spytała niewinnie Tish.

– Być moją kobietą.

Zaczerwieniła się tak, że aż zapiekła ją skóra. Spojrzała mu w oczy i śmiech, który w nich zobaczyła, zmroził ją.

– Uwielbiasz mnie peszyć – rzuciła ze złością.

– Lubię to nawet bardziej niż jedzenie. Pięknie się czerwienisz, święta Joanno.

– Nie nazywaj mnie tak! – odburknęła. Jeszcze bardziej go rozśmieszyła.

– Chodźmy już. Nie mam zbyt wiele czasu, ale jakoś sobie poradzę.

– Jeśli chcesz – zaproponowała Tish niepewnie – możemy spędzić kilka godzin przy czyszczeniu krów z tego robactwa.

Zmrużył oczy, patrząc na nią przenikliwie.

– Wyływasz na głęboką wodę, złotko – powiedział, udając złość.

Szybko poprawiła dzinsy, a Russell odrzucił głowę do tyłu i nacisnął gaz.

Po drodze nad staw Russell zahaczył o dom, w którym wychowywała się mała Lutecia. Wjeżdżając na podwórko, przyglądał mu się z dużym zainteresowaniem.

Dom był stary, niepomalowany, zniszczony od zmian pogody, z popękkanymi, szarymi deskami. Frontowy ganek zapadł się, pozbawione szyb okna były ciemne i nieprzystępne. Cienki dach przerdzewiał, a frontowe schodki wyglądały, jakby się miały zapaść pod ciężarem głodnego kota. Krzewy bzu obok domu odarte były z liści. Wokół podwórka rozrastały się chińskie akacje, a z tyłu wypiętrzała się ponad dachem hikora. Całość przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz.

Ale Tish wyobrażała sobie te ściany pomalowane jak dawniej żółtą i brązową farbą, a na ganku huśtawkę, przy której można było słyszeć dobiegający z kuchennego okna śpiew i przypomniawszy sobie wtórujący mu śmiech małej dziewczynki. Poczowała zapach pieczonych ciasteczek wymieszany z zapachem czerwonych róż kwitnących wzdłuż płotu przy drodze. A kiedy zamknęła oczy, ujrzała swojego wysokiego ojca o jasnej karnacji i drobną, śniadą matkę, jak wyglądali dawno temu.

- Gdzie my jesteśmy, tatusiu? – spytała zaciekawiona Lisa.
- W domu – odpowiedziała za niego Tish i zaczęła wysiadać z dżipa.

Russell zamknął jej dłoń pod swoimi ciepłymi, silnymi palcami.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z taką czułością, jakiej dawno już nie słyszała.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Nie wszystkie wspomnienia są złe. Mama, dopóki nie zachorowała na zapalenie płuc, bardzo lubiła śpiewać, zwłaszcza kiedy krzątała się po kuchni i gotowała. A tatuś... Tatuś... !

Uścisnął ją mocniej.

– Widziałaś, co się wtedy stało. Znalazłem cię tam, w polu. Wziąłem cię do domu. Tak to wspominaj, jeżeli w ogóle musisz. Tish, on nawet nie wiedział, co go uderzyło – dodał cicho. – Przysięgam, nawet nie poczuł, że rozjechał go traktor.

Schwyciła jego rękę tak kurczowo, jakby to była lina ratownicza, i przełknęła łzy. Odetchnęła głęboko i uspokoiła się. Poczowała ulgę, jakby wszystkie upiory przeszłości, wszystkie senne koszmary, złożyła do grobu.

– Tatusiu, czy mogę obejrzeć dom? – spytała Lisa. – Nie będę wchodzić do środka, tylko chcę zobaczyć, gdzie mieszkała Tish.

– Jeśli obiecasz, że nie wejdiesz na ganek – zastrzegł Russell.

– Obiecuję.

Podniósł ją i wystawił na zewnątrz dżipa. Pobieгла w stronę podwórka.

– Zmieniłaś o niej zdanie? – spytał krótko.

– Czy zmieniłam... ach... tak – wykrztusiła. Wlepiła wzrok w podolek. – Ona jest... bardzo podobna do ciebie.

Zapalił papierosa i drażniący dym owionął jej twarz.

– Wiesz, że jest dzieckiem nieślubnym?

– Ja... tak, wiem – skłamała. Powędrowała wzrokiem do małej dziewczynki, która nuciła i bawiła się wysokim zielskiem. – Jest takim kochanym, dobrym dzieckiem.

– Jak jej matka – wyszeptał cicho.

Coś ostrego i bezlitosnego zakłuło ją w serce. Nie chciała ani pytać o matkę Lisy, ani nie chciała nic wiedzieć!

Czuła na sobie jego wzrok.

– Nigdy, ani razu mnie nie zapytałaś. Czy jej matka w ogóle cię interesuje?

Nie mogła mu odpowiedzieć, ale skinęła głową. Odetchnęła głęboko.

– Czy ty ją... kochałeś, Russell? – zapytała cicho.

– A nie interesuje cię, kim była ani do jakiej warstwy społecznej należała? Co to za dziwne pytanie, panno Peacock. – Westchnął. – Tish, nie wiem. Byłem młody, miałem gorącą krew i pragnąłem jej jak diabli. Jechałem na wojnę. Nie wiedziałem, czy wrócę. Była wiosna i wziąłem śliczną córkę dzierżawcy na tańce, ale samochód się zepsuł... – Pod wpływem wspomnień pociemniały mu oczy. – Zanim wyjechałem, poprosiłem ją o rękę, ale nie było czasu... Po kilku miesiącach dostałem od jej siostry list. To był poród pośladkowy i lekarz nie zdążył na czas. Kiedy przyjechał, dla matki Lisy było już za późno. Wróciłem do domu i uzgodniłem z ciotką Lisy, że się nią zaopiekuje w Jacksonville. Potem całe lata próbowałem z tym żyć. Czasami – powiedział ostro – było mi trudno.

– Tego wieczoru, kiedy wróciłam do domu – wyszeptała – palnęłam na temat córki dzierżawcy...

– I, na Boga, ty nic nie wiedziałaś. Wiedziałaś?

– Domagał się odpowiedzi chrapliwym głosem, chwytając ją brutalnie za ramiona i patrząc na nią tak groźnie, że pobladła.

– Proszę – szepnęła. – To... boli! Zaczepnął powietrza i czym prędzej rozluźnił uchwyt.

– Boże, nie chciałem sprawiać ci bólu... – Zamyślił się. – Ostatnio dziwnie na mnie działasz, święta Joanno. Klnę się na Boga, że chciałbym wiedzieć, co mam z tobą zrobić.

– Co? – spytała z niedowierzaniem. Puścił ją.

– Nieważne. Maria Lisa! Jedziemy!

Kiedy wsadzał dziecko do dżipa, Tish obserwowała go z nieukrywaną ciekawością. Nigdy go nie rozumiała. Nigdy!

Siedzieli z Russellem nad brzegiem stawu. Było jak za dawnych, dobrych czasów, kiedy przychodzili tu na ryby. Ona paplała, a on się denerwował i ćmił papierosy.

Gdy Lisa stała przy brzegu raz po raz zarzucając wędkę, Tish zamknęła oczy i z lubością wsłuchiwała się w przyjemne bulgotanie wody płynącej przez upust.

Przypomniała sobie, że dalej, w dole strumienia, było miejsce, gdzie woda sączyła się przez brudną drogę, a motyle przelatowały tam i z powrotem tuż nad białozółtym piaskiem, siadając czasami na wilgotnych kamykach, aby na chwilę stać się dziełem sztuki. Bzyczały też dokuczliwe muchy piaskowe, których wściekłe ukąszenia pozostawiały na skórze czerwony obrzęk. I wszędzie roznosił się zapach kwiatów polnych.

– Zdawało mi się, że przyjechałaś tu na ryby – zbeształ ją, a potem podebrał swoją wędkę, by sprawdzić, czy robak nadal tam dynda, i znów ją zarzucił, podciągając ołowiany ciężarek i biało–czerwony splotnik.

Zerkała na niego leniwie.

– Kłamałam. Przyjechałam tutaj, żeby powspominać. – Ale też sprawdziła swoją żyłkę, tyle że robak przepadł. – Coś tam w tej wodzie lubi jeść, ale nie lubi płacić. Jak to jest, że one ciągle zżerają moje robaki, a twoich nie ruszają?

Zachichotał.

– Bo gadasz.

Pokazała mu język i zaczęła grzebać w wiaderku z robakami.

– Maria Lisa, chcesz następnego robaka?

Dziewczynka podniosła wędkę.

– Nie, jeszcze tam jest!

– Nie jest ci zimno? – dopytywała się Tish, widząc jej cienki sweterek.

– Nie, ja nigdy nie choruję.

– Tak jak ojciec – mruknął Russell, zerkając z dezaprobatą na sweter i wiatrówkę Tish.

– Nie jestem gorącej krwi – palnęła, niewiele myśląc.

– Nie? – zapytał dziwnym, niskim głosem

. Mając nadzieję, że Russell nie dostrzeże, jak się zmienił kolor jej twarzy, skupiła wzrok na robaku.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak strasznie to jest okrutne – odpowiedziała wymijająco, nadziewając robaka na haczyk z zadziorem.

– Można to sobie wytłumaczyć, jedząc smaczną, smażoną rybę. – Uśmiechnął się szeroko.

– Ciebie nic nie rusza, prawda? – spytała jak najpoważniej.

Rzucił jej przelotne spojrzenie i wrócił wzrokiem na mętną, głęboką wodę.

Kilka metrów od łysego, brudnego brzegu, przy którym siedzieli na odwróconych puszkach, szałwiki podskakiwały wesoło.

Zaśmiał się krótko, z przymusem.

– Sama w to nie wierzysz, mała.

Wzruszyła ramionami i spojrzała pod nogi, na rozdeptane przez siebie zielska i kawałki kory.

– Wiesz, że jesteś ciężki do odczytania? Masz nieprzeniknioną twarz.

– Tak mi mówią. To się bardzo przydaje, kiedy gram w pokera.

Uważaj na swój szałwik, Tish, bo chyba ci bierze.

Patrzyła, jak kolorowy szałwik najpierw pogrążył się w wodzie, potem wypłynął i znowu poszedł pod wodę. Niewiele myśląc, poderwała wędkę, ale robaka nie było. Haczyk znowu pusty.

– Tish, czy coś złowiłaś! – zawołała podekscytowana Lisa.

– Nie, chyba że coś niewidzialnego. Cholera.

– Znow sięgnęła po wiadro z przynętą.

– Święta Joanno, ty przeklinasz? Toć to było przekleństwo – ucieszył się Russell.

– Żadna nowina. Od samego początku miałam niezły repertuar.

– Pamiętam. Okropny. Byłaś niemal tak kwiecista i obrazowa jak ja.

Całe tygodnie zajęło mi oduczanie cię tych bluźnierstw. – Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Ale udało mi się.

Skrzywiła się.

– Czy ty zawsze musisz!... Fúj, smak tego obrzydliwego mydła!

– Taką cię właśnie pamiętam – powiedział z nagłą powagą. – Nie w sukienkach Diora ani w drogich pantofelkach... ale w dżinsach i starych bluzkach, z włosami rozpuszczonymi na plecach jak czarny jedwab.

Głos miał głęboki i tak pełen czułości, że aż bała się spojrzeć na Russella, żeby nie prysnął czar. Ton miękki i łagodny, z lekka uwodzicielski, co sprawiało, że jej puls stawał się coraz mocniejszy, oddech przyśpieszał.

– To dlatego zawiozłeś mnie dzisiaj do starego domu? Żeby mi przypomnieć...

– Żeby się pozbyć upiorów przeszłości. I pozbyliśmy się, prawda, Tish?

Skinęła głową. Na jej ustach pojawił się leciutki uśmiech.

– Pozbyliśmy się.

– Już się nie wstydzisz? Pokręciła przecząco głową.

– To było coś, zobaczyć wszystko jeszcze raz, tym razem oczami Lisy... ona nie widziała w tym niczego wstydliwego.

– Bo to żaden wstyd.

Pochyliła się, żeby opłukać zabłocone dłonie w zimnej wodzie jeziora.

– Masz zamiar ją tutaj zatrzymać? – Wskazała głową dziewczynkę, która stała w pewnym oddaleniu.

– Nie wiem, mała. W szkole ją ukrzyżują – powiedział z powagą.

– A ty nie chciałbyś w to wkraczać i brać razów na siebie, prawda? Tak jak nie wstawiałeś się za mną.

– Spojrzała mu w oczy z wyrzutem.

– Zmuszałem cię do tego, żebyś własnych spraw pilnowała sama, ale wcale nie dlatego, że nie dbałem o ciebie, ale dlatego, że dbałem. Gdybym

ci ciągle pomagał, wyświadczyłbym ci tylko niedźwiedzią przysługę. Nadejdzie taki dzień, Tish, że będziesz musiała radzić sobie sama, a ja nie będę stał za tobą. O własne bezpieczeństwo musisz zadbać sama. W tej sprawie nie możesz polegać na nikim innym.

- Oni ją skrzywdzą. – Znowu spojrzała na Lisę.
- Takie jest życie, kochanie, nie wiedziałaś? Odetchnęła głęboko.
- Uczę się.
- Uważaj na spławik. Znowu bierze.

A ona znowu za szybko poderwała wędkę i wyciągnęła mokry, goły, metalowy haczyk. Z westchnieniem po raz kolejny sięgnęła do wiadra z przynętą.

– Mam nadzieję, że robaków nam nie zabraknie – zauważył bez troski Russell.

– Och, lepiej się zamknij – odburknęła. Wyłowiła z wiadra jeszcze jedną, różową, wijącą się ofiarę i nadziała na haczyk. – Równie dobrze mogłabym trzymać te robaki w palcach i dyndać nimi w wodzie!

– Wtedy dopiero by się ci odpląciły – skomentował ze śmiechem.

– Ryby? Za co? – spytała niewinnie.

– Za zagadywanie ich na śmierć. Rzuciła mu gniewne, wymowne spojrzenie.

– Ani razu nie kazałeś mi się zamknąć.

– Nie muszę. – Wycisnął na jej ustach szybki, twarde, bolesny pocałunek. – Mam też inne sposoby – dodał, śmiejąc się cicho na widok zmieszania w jej jasnych oczach.

Odstąpił, zanim zdążyła zareagować słowem lub uczynkiem, a potem było już za późno. Zsunął kapelusz nisko na czoło i z lekka pociągnął żyłkę.

– A teraz mała lekcja wędkowania – zaczął chłodno.

Wrócili do domu z sześcioma ogromnymi leszczami dyndającymi na żyłce. Wszystkie, z wyjątkiem jednego, złapanego przez Lisę, złowił Russell.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdyby nie parady w telewizji i ogromne ilości jedzenia przygotowanego przez Mattie, Święto Dziękczynienia niczym nie różniłoby się od innych dni. Wszystko skończyło się za szybko, a Baker i Mindy wracali z powrotem na Florydę. Tish snuła się po domu z dziwnym poczuciem pustki i beznadziei. Nie minie jeszcze kilka tygodni i wróci na uniwersytet, a wszystko, co się wydarzyło, będzie już tylko wspomnieniem.

Wspomnienia. Sięgnęła pamięcią wstecz, by pozbierać cząstki przeszłości. Russell stojący w drzwiach domku plażowego Tylera i jego śniada, spokojna twarz; tamten wieczór na ganku, kiedy tak szaleńczo ją objął i jego głęboki, dudniący głos; smak twardych, rozpalonych ust na jej ustach, gorący jak słońce, co w polu piekło ją w głowę. Westchnęła głęboko, powoli. Zadrżała. Przypomniła sobie, jak ją całował wieczorem w kuchni i odepchnął gwałtownie za to, co powiedziała o Lisie. Gdyby wtedy wiedziała!

Zatrzymała się przy wejściu do pokoju Russella. Spojrzała na wielkie, dębowe biurko, w którym trzymał dokumenty. Mimo tamtego krótkiego pocałunku nad jeziorem nadal utrzymywał między nimi dyskretny dystans. Tak jakby bał się, że mógłby jej pozwolić za bardzo się do siebie zbliżyć. To dało jej do myślenia. Czy to możliwe... ?

– Tish! – Od drzwi frontowych dobiegło ją wołanie Lisy. – Chodź szybko, tatuś pozwoli mi pojeździć na koniu!

– Teraz? Już prawie ciemno.

– Jeżeli masz zamiar iść z nami, to chodź tu, do cholery! – krzyknął Russell, wyraźnie czymś zirytowany, wyłaniając się zza córki jak ogromny

cień. – Jest dla mnie zagadką, dlaczego ona nie jest w stanie zrobić pięciu kroków bez ciebie! Ciągłe chce, żebyś na nią patrzyła.

Poczuła się jak zbity pies nie tylko przez słowa. W jego oczach była tak mroczna wściekłość, że ją zabolalo.

– Tatusiu, Tish jest moją przyjaciółką – protestowała grzecznie Lisa, spoglądając na ojca rozbijającymi, brązowymi oczami.

Uniosła dumnie głowę.

– Właśnie chciałam... – zaczęła.

– O co chodzi z tą przejażdżką? – zawołała Eileen i zeszła na dół. – O rany, muszę trochę poćwiczyć. Czy mogę iść z wami?

– Do diabła, wynajmę autobus i weźmiemy jeszcze robotników rolnych. Chodźcie! – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Eileen wyszczerzyła się do Tish i wyszły na zewnątrz.

– Jaka szczęśliwa, duża rodzina – powiedziała.

– Wiesz co? Daj mi spokój. – Tish nie była w nastroju. – Mam nadzieję, że pęknie mu popręg.

– Przy tym, jak on jeździ – zauważyła Eileen – to nie miałyby większego znaczenia.

Tish wolała nie okazywać lęku przed końmi i usiadła spokojnie z Eileen z tyłu dżipa. Okropnie tam podskakiwały, gdy auto mknęło najpierw polnymi drogami, a potem wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, dzięki któremu utrzymywano bydło na ogromnym pastwisku, które zdawało się rozpościerać aż po horyzont.

– Spójrzcie na konie! – zachwyciła się Lisa z nosem przy przedniej szybie. – Tatuś już mi je pokazywał. To appaloosa!

Entuzjazm dziewczynki rozbawił Tish. Uśmiechnęła się.

– Apps – poprawiła ją. – Albo appys. A wiesz, że one rodzą się białe jak śnieg? Dopiero kiedy tracą pierwszą sierść, pokazują się łaty.

– To dlatego nazywają je łaciatą rasą – wtrąciła Eileen.

– Boże, chroń mnie przed ekspertami z tylnego siedzenia, co to nie potrafią nawet dobrze zacisnąć popręgu – warknął Russell, nie spuszczając oka z wąskiej, polnej drogi.

– Stało się tak tylko dlatego, że raz, jeden jedyny raz – odpowiedziała Tish – nie zauważyłam, że ten mały, uparty srokacz, wydał brzuch...

– Lisa, popatrz, jak Tish wyciąga szyję – instruowała Eileen. – Gdyby była koniem, taki widok nazywałby się sylwetką orła. Mówi się tak o koniach, które mają szczególnie piękne kształty i trzymają głowę tak wysoko, jakby się szykowały do wzbicia w powietrze.

– Eileen. – Tish pogroziła jej pięścią.

– Tish, może trochę owsa? – zarżała Eileen, szczerząc wszystkie zęby.

Lisa parsknęła śmiechem

– Ale jesteś śmieszna – zachichotała.

Tish znowu nie mogła się nadziwić starannej, nowoczesnej konstrukcji pomieszczeń dla klasycznych appaloosa Russella i wierzchowców przeznaczonych na sprzedaż. Stajnie były świetnie izolowane, a końskie boksy przestronne i pedantycznie czyszczone. Z każdej strony stajni były padoki, a doborowy treser Russella, który mieszkał dosłownie o rzut kamieniem, śrutówką odstraszał ewentualnych nocnych gości.

– To wielkie przedsięwzięcie hodowlane – zauważyła cicho Tish.

– I każdego dnia się rozwija – odparł Russell. Skręcił w stronę korrala, na zewnątrz którego czekały trzy konie osiodłane i gotowe do jazdy.

Trzy. Dla Russella, Eileen i dla Lisy. Tish odetchnęła z ulgą. Już miała podejrzenia...

Lisa pognąła do małego kucyka palomino, któremu dała na imię Wiatronogi.

– Maria Lisa! – ostrym głosem zawołał Russell.

– Trzymaj się od tego konia z daleka, dopóki ci nie powiem!

Dziewczynka stanęła nagle i wykonała w tył zwrot.

– Tak, tatusiu – odpowiedziała grzecznie. – Tish, jedziesz z nami?

– Nie.

– Tak – powiedział Russell. – Eileen, pojedź z Lisą przodem, ale uważaj na nią. Ja z Tish pojedziemy razem za wami.

– Jasne, Russ. Lisa, chodź – zawołała Eileen i szybko pomaszzerowała z dziewczynką do koni.

– Wracaj tu, zdrajczynie! – zawołała za nią Tish.

– Na razie! – Eileen pomachała jej ręką i obie wolno pogalopowały przed siebie.

Tish spojrzała ze złością na Russella.

– Ja na tego konia nie wsiądę – powiedziała stanowczo. Wspomnienie wypadku nadal ją prześladowało. – Nie wsiądę, Russell!

– Wsiądziesz. – Miał w oczach tamto spojrzenie. Zbyt wiele razy je widziała, by go nie rozpoznać. I zawsze oznaczało jedno, że postawi na swoim. Opór zdałby się na nic, co najwyżej pogorszyłby jej sytuację.

Popatrzyła na niego błagalnie.

– Nie zmuszaj mnie – szepnęła nerwowo. – Russell, nie masz pojęcia, jak ja się boję... !

– Tu nie ma się czego bać – powiedział spokojnie.

– Jeśli się teraz nie przełamiesz, już nigdy ci się nie uda.
– A jakie to ma znaczenie? Nie będę jeździć konno po mieście!
– Na wakacje wrócisz do domu. – Wprost biła z niego determinacja.
– Nie chcę. Po prostu nie chcę i już! Ujął ją delikatnie za ramiona.
– Tish, czy zawsze celowo muszę sprawiać ci ból? Opuściła wzrok na swoje zakurzone buty.

– Tak – szepnęła mimo woli. Ścisnął ją mocniej.
– Nie to... miałem na myśli – powiedział z mocą, i nagle oboje przypomnieli sobie tamto lato w domku na plaży. – Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek naraziłem cię na niebezpieczeństwo? – rzucił ostro.

Musiała pokręcić głową.

– Więc zaufaj mi. To dla twojego dobra. Maleńka, nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda. Nigdy – powiedział z ustami przy jej skroni.

Jego głęboki głos podnosił ją na duchu. Cała drząc, odetchnęła cicho. Był tak blisko, że serce waliło jej jak młot.

– Nic nie poradzę, że się boję. Okropnie się czuję. Pogłaskał ją po długich, czarnych włosach.

– Pojedziemy konną ścieżką, a ja cały czas będę tuż przy tobie.

Zgoda?

– Zgoda – powiedziała, opanowując strach.

Uniósł twarz Tish do siebie i w taki sposób spojrzał na nią ciemnymi, błyszczącymi oczami, że zabrakło jej tchu.

– Nie próbuj wracać do tego, co było między nami – ostrzegł ją łagodnie. – Niech to będzie dla ciebie jasne, Tish, albo będę musiał cię solidnie zbesztać. Nie chcę do świąt żadnych tarć, skoro możemy tego

uniknąć. Zwłaszcza ze względu na Lisę i Eileen, a mniej ze względu na nas. Zgoda? Zaczerwieniła się i odsunęła od niego.

– Zgoda.

Odetchnął z wyraźną ulgą.

– Czy Nana dzwoniła do ciebie w sprawie tego cholernego przyjęcia?

– zapytał ją, kiedy szli w stronę korrala, gdzie jeden ze stajennych trzymał dla nich dodatkowego osiodłanego konia.

– Chodzi o twoje urodziny u Jace'a? Tak. Eileen i Guss też się wybierają.

– Wolałbym, na Boga, żebyście wy, dziewczyny, zanim zaczniecie organizować takie przyjęcia, najpierw uzgadniały wszystko ze mną – powiedział szorstko. – W tym samym czasie jest aukcja niedaleko Thomasville. Mam na oku niezły sprzęt do farmy.

– A czy ty w ogóle – odparła chłodno – potrafisz myśleć o czymś innym niż o farmie? Nam się zdawało, że docenisz fakt, że jest ktoś, kto pamięta o twoich urodzinach. Nie wiem, po co zawracaliśmy sobie tym głowę.

– Wiem, ile mam lat bez niczyjej pomocy – odpowiedział opryskliwie. – Kończę trzydzieści pięć.

– Powiedziałaś to tak, jakby to był koniec świata. Przypomnij sobie tę reklamę. Ty się nie starzejesz, ty... – zaczęła.

– Przestań! – Słowo zabrzmiało ostro jak wystrzał. Zabolęła ją i natychmiast zamilkła.

Kiedy byli już przy koniach, Tish przyglądała się niespokojnym zwierzętom z pewnym rozgoryczeniem. To była jej wina, nawet jeśli wtedy myślała tylko o Russellu. Ale teraz, kiedy znowu usłyszała chrzęst

skórzanego siodła i poczuła koński zapach, wszystko wróciło. Zaciśnęła oczy, a na wspomnienie tamtego bólu jej ciało przeszły dreszcz.

– Pamiętasz, jak po raz pierwszy posadziłem cię na konia? – zapytał ją Russell łagodnie. – Próbowiałaś złapać za uzdę i niewiele brakowało, byś spadła. Musiałem podnieść strzemię pół metra wyżej, żeby je dostosować do twojego wzrostu.

Na to wspomnienie uśmiechnęła się. To były dobre, szczęśliwe czasy.

– Wtedy się tak na mnie nie darłeś.

– Kochanie, ale teraz jesteś już duża. – Powiedział to dziwnym, poważnym głosem. – No chodź, pomogę ci wejść.

Pozwoliła mu się podsadzić i siedziała teraz na dereszach, cała zesztywniała, z sercem grożącym, że wyskoczy jej z piersi. W uszach miała jeszcze koński kwik. Usta zaciśnięte w wąską linijkę.

– Jestem gotowa, tak jak i ty – powiedziała całkiem spokojnie, ale tak mocno ścisnęła uzdę, że knykcie miała całe zbiele. –

– Kochanie, uspokój się – powiedział łagodnie, jadąc obok niej. – Rozluźnij się. Jestem tutaj. Nic nie może się stać.

Odetchnęła głęboko i strach powoli ustępował.

– Łokcie do siebie i tak trzymaj – instruował. – Prowadź go kolanami. To spokojny koń i nigdzie ci się nie wyrwie. No i jak, w porządku?

Rozpogodziła się. Łagodny, miarowy ruch konia, przyjemność, którą sprawiał jej głęboki głos Russella, rześkie powietrze i cudowny spokój otwartej przestrzeni wyraźnie ją uspokajały.

– W porządku. – I tak było.

– Russell wygląda jak chmura gradowa – szepnęła Nana do Tish podczas przyjęcia urodzinowego, które dzięki obecności jego przyjaciół z biura holdingowego bardziej przypominało raut polityczny niż cokolwiek innego. – Tish, o co mu chodzi?

Wzruszyła ramionami.

– Jest taki już od kilku dni – mruknęła. – Pewnie nie może pogodzić się z tym, że skończył trzydzieści pięć lat. A ja czuję się trochę tak, jakby to była moja wina.

– Że ma trzydzieści pięć lat? – spytała Nana i zaczęła się przyglądać przyjaciółce dziwnie zaciekawiona. – Zastanawiam się, dlaczego tak go to martwi?

– A niby skąd mogłabym wiedzieć? O, widzę, że zaprosiłaś Tylerów – dodała Tish wesoło. – Jak ci idzie z Frankiem?

– On jest w porządku – odpowiedziała Nana bez troski. – Trochę za bardzo konwencjonalny, ale całkiem miły i niegłupi. – Uśmiechnęła się. – Wygląda na to, że jego siostrzyczka znalazła zajęcie dla swoich małych rączek.

Rzeczywiście, Belle stała tak blisko Russella, że mogłaby być nitką na wieczorowym ubraniu, które miał na sobie. Na ten widok krew się w Tish tak wściekle wzburzyła, że już chciała zacisnąć długie, czarne korale Belle na jej gardle i czekać, aż beczelna twarzyczka cała zsinieje.

– Cześć, Tish – przywitał ją Frank, podchodząc do nich. – Dobrze cię widzieć. Lepiej się czujesz?

– O wiele lepiej – odpowiedziała rozpromieniona, chociaż wcale tak się nie czuła. – Jestem okazem zdrowia.

– I tak wyglądasz – powiedział z nietypową dla siebie śmiałością, a Tish zdziwiła się, widząc zielone błyski w dużych oczach Nany.

– Dziękuję, Frank – powiedziała.

– Chciałabyś zatańczyć ze mną? – nalegał z uśmiechem.

– No cóż, skoro nie ma tu Freda Astaire'a czy choćby Johna Travolty, to i owszem – odpowiedziała swobodnie. – Nana, wybacz.

– Jasne – odparła cicho.

Poszli na parkiet, gdzie Frank objął Tish ciasno i położył jej ręce na swoich ramionach w ultranowoczesnym stylu.

– Pozwolisz? – spytał z powagą. – Jesteśmy przyjaciółmi i czasem o tobie myślę. Ale Nana... – Westchnął ciężko. – Chyba to po mnie widać.

Uśmiechnęła się.

– Ja widzę. Klóćcie się?

– Jak zwykle to moja wina. Zawsze coś palnę niepotrzebnie, a potem w to brnę. A ona nie chce słuchać przeprosin.

– A teraz próbujesz numeru z zazdrością?

– Gdybym mógł wywołać w niej zazdrość, przynajmniej bym wiedział, że nadal mam jakieś szanse. Co ty na to, Tish? Uśmiechnęła się.

– Nana jest moją najlepszą przyjaciółką i nie jest dzisiaj szczęśliwa. Pomogę wam.

Przycisnął jej policzek do marynarki.

– Dzięki, przyjaciółko. Tak bywa.

– Weź starego zimnego ziemniaka i czekaj – szepnęła Tish.

– Że co proszę? – spytał szybko Frank.

– Potrzebny ci przyspieszony kurs południowej wymowy. Kiedy skończymy tańczyć, poproś Nanę, bo zzielenieje z zazdrości.

– Tak zrobię. – Roześmiał się.

Jeszcze nie skończyli czwartego tańca, gdy w końcu Nanę zmęczyło siedzenie pod ścianą i poddała się. Ale zanim Frank zdążył ją poprosić, Tish już odnosiła własne korzyści w postaci rozwścieczonej pary ciemnobrązowych oczu śledzących ją bacznie z drugiego końca sali. Russell patrzył na nią otwarcie wzgardliwie, z nieukrywanym gniewem, spod ściągniętych brwi.

– Przecież go nie zgwałciłam – wyszeptała jednym tchem przy wazie z ponczem, kiedy Russell podszedł tam do niej.

– Ze wszystkich cholernych pokazówek, które kiedykolwiek widziałem, wasza ma pierwsze miejsce. Chodź ze mną! – Schwycił ją za nadgarstek, mocno, bezwzględnie i wyciągnął na zimny, frontowy ganek, zatrzaskując gwałtownie drzwi. Pochylił się i spojrzał w jej rozszerzone, zamglone w skąpym świetle ganka oczy. – Co, do cholery, chciałaś osiągnąć? – naciskał. – Żeby wszyscy zaczęli plotkować? Na Boga, nie możesz pozwalać sobie na to, żeby mężczyzna tak cię na parkiecie obściskiwał!

– Ale, Russell, wszyscy tak robią...

– Gównu mnie obchodzi, co robią wszyscy – odburknął opryskliwie. Jego oczy jarzyły się ze złości. – Nie chcę, żeby wszyscy zaczęli się zastanawiać, kim ty właściwie jesteś.

– Masz na myśli moją zafajdaną przeszłość?! Przecież to ty zawsze chciałaś ją odgrzebać i ogłosić całemu światu, z jakiej biedy pochodzę! Czy nie dlatego, że w ten sposób mógłbyś pokazać swoją wspaniałomyślność i amerykańską szlachetność? Mówi się, że nawet w Paryżu nikt nie zrobi z

owsa ryżu, ale teraz można to powiedzenie uzupełnić: chyba że jest się Russellem Currie, a owsem Lutecia Peacock.

– Zamknij się, ty mała dzikusko – powiedział lodowatym głosem.

Bezwiednie powtórzył dokładnie te słowa, którymi dzieci drwiły z niej w szkole, kiedy musiała nosić sukienki szyte z worków po mące. A słowa bolały.

Z wściekłości dosłownie cała się trzęsła.

– Russell, dlaczego mnie nie uderzysz? – zapytała zdławionym głosem. – Wcale by nie bolało bardziej niż słowa. Dzięki, że powiedziałeś mi, co o mnie myślisz. Szkoda, że dopiero teraz, a nie wiele lat temu... – Głos jej się załamał, odkręciła się i z hukiem otworzyła drzwi.

– Tish! – zawołał.

– Idź do diabła, Russell! – wrzasnęła. – Nie waż się do mnie zbliżyć! Wbiegła schodami prosto w ramiona wstrząśniętej Nany.

– Nie mogę wrócić do domu – powiedziała Tish, kiedy przyjęcie dobiegło końca. Siedziała na łóżku Nany z czerwoną, zapuchniętą twarzą, z zaczerwienionymi oczami, ze śladami łez na policzkach. Nie ruszała się z tego miejsca przez cały wieczór.

– Wiesz, że możesz tu zostać – powiedziała Nana współczująco. – Rano wszystko się ułoży. Ty i Russell zawsze się tak kłócicie, a po jakimś czasie i tak się godzicie.

– Nie tym razem – wykrztusiła. – Powtórzyłaś mu to, co powiedziałam? Że nie wracam na noc do domu?

– Tak, Tish, powtórzyłam mu to.

– No i? Co powiedział?

Nana popatrzyła na swoją sukienkę w oryginalne czerwone wzory.

– Nic nie powiedział.

Tish zdobyła się na słaby uśmiech.

– Jak zwykle nie okazuje tego, co czuje. Jeśli w ogóle coś czuje. – Łzy zakręciły jej się w oczach. – Mówiłaś Eileen, że nie chcę, żeby tu przychodziła? Po prostu... mam dość rodziny.

– Nie ma tu nikogo poza mną – powiedziała Nana. – Tylko twoja stara, zazdrosna przyjaciółka. Jesteś wstętna, żeby tak mnie nabrać. – Roześmiała się. – Frank wszystko mi opowiedział. W końcu musiałam schować dumę do kieszeni i przyznać się, że go kocham. Ale to nie takie proste.

– Z tego, co wiem, nigdy nic nie jest proste. Russell naprawdę nic nie powiedział? – zapytała niepewnie.

– Nie mogę was rozgryźć, ani ciebie, ani jego. Nie, Tish, w ogóle nic nie powiedział. Tylko strzelił sobie szklaneczkę dżinu.

– Och.

– Co to znaczy „och”? – spytała Nana. – Nie wiesz, że Russell nigdy nie pije dżinu? Nie znosi go, przecież wiesz.

Tish patrzyła na przyjaciółkę w osłupieniu. Nana ciężko westchnęła.

– Znajdę ci jakąś piżamę, moja głupiutka przyjaciółko.

Tish przygryzła wargi.

– To były jego urodziny, wiesz.

– Wiem.

– Nie dałam mu nawet prezentu. Och, jakie to... – zajęczała, chowając twarz w poduszkę.

Nana wróciła z piżamą i chusteczkami higienicznymi.

– Zanosi się na to, że jutro w ruch pójda rewolwery i będziecie się strzelać na dwadzieścia kroków. Ja jednak odmawiam dalszego sędziowania, mam tego serdecznie dość. Tak szczerze, żeby dwoje dorosłych ludzi...

Mówiła i mówiła, ale Tish nie słuchała. Duszę miała tak boleśnie zranioną, że chciało jej się tylko płakać.

Głęboki sen wprawdzie uśmierzył ból, ale kiedy Nana powiedziała jej, że wielkie, miejskie auto Russella podjeżdża pod frontowe schody, natychmiast wpadła w prawdziwą panikę. Jeszcze nie czuła się na siłach, by spojrzeć mu w oczy. Och, pewnego dnia będzie musiała wrócić do domu, to było nieuniknione, i zmierzyć się z tym wszystkim, jeśli będzie trzeba... ale nie teraz!

Mając nadzieję, że się na niego nie natknie, ostrożnie zeszła po schodach na dół, czujnie rozejrzała się po holu, ale nikogo tam nie było. Do jej uszu nie dochodził żaden dźwięk.

Z westchnieniem ulgi przeszła przez opustoszałą kuchnię, wyszła na zewnątrz przez drzwi kuchenne i skierowała pod wielką hikorę akurat w chwili, gdy Russell wychodził zza rogu domu. Serce jej zamarło na moment, po czym zaczęło szaleńczo walić.

Stanała z rękami założonymi do tyłu, w wypłowiałych dżinsach, które pożyczyła jej Nana. Russell był ubrany zwyczajnie. Spodnie i beżowa, trykotowa koszulka. Uśmiechał się, ale nie był zły. Poznała to po jego długich, miarowych krokach. Kiedy był zły, poruszał się powoli, statecznie, a jego oczy wręcz paliły. Teraz, kiedy stanął naprzeciw niej i spojrzął na zaczerwienioną twarz, były ciemne i spokojne.

– Wszyscy chcą wiedzieć, kiedy wrócisz do domu – powiedział bez żadnych wstępów.

Tish przełknęła nerwowo ślinę.

– O tym nie myślałam. – Głos miała przygaszony, wzrok spuszczonej. Wpatrywała się w ciemnobrązową skórę butów Russella. Obok, w przeredzonej trawie, między dwoma niewielkimi mrowiskami z czerwonego, wyschłego błota, wiała się wstążka maszerujących mrówek. Czuła w gardle gulę, wiedziała jednak, że to była jej duma. Powinna go przeprosić, ale to straszne zadanie.

– Miałam zadzwonić – powiedziała cicho. – Ale nie wiedziałam, czy w ogóle będziesz chciał ze mną rozmawiać.

Poczuła na skroni jego dużą dłoń. Russell odgarniał luźny kosmyk czarnych włosów rozwiewanych przez lekki, chłodny wiatr.

– Ja nie stroję fochów, kochanie. – Głos miał głęboki i spokojny. – Jestem porywczy, ale to słomiany ogień, łatwo się zapala, ale szybko gaśnie. Przecież wiesz.

Pokręciła głową, bojąc się, że się rozryczy.

– Wiem tylko, że to były twoje urodziny, a ja... ja... – Spojrzała na niego żałośnie, całkowicie bezradna, ze łzami w oczach, z drżącymi, kształtnymi, wilgotnymi ustami, z zaróżowionymi policzkami.

Nagle jego oczy pociemniały i spojrzał na nią tak, jakby chciał schwycić Tish i uszczknąć z niej kilka kęsów. Z całej jego postaci, z każdego naprężonego mięśnia emanowało ogromne napięcie.

– Russ, przepraszam! – wyszeptała łamiącym się głosem. – Już się na mnie nie gniewaj!

– Boże... ! – wyszeptał chrapliwie. Zagarnął ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie, zanurzając twarz w jej włosach i wpijając palce w

miękkie krągłości. – Małeńka moja, Boże, już nigdy więcej nie rób mi czegoś takiego!

Łzy ciekły jej po policzkach, gdy oddawała mu szaleńczy, spragniony uścisk, czując się tak, jakby przez całe swoje życie aż do tej chwili istniała tylko połowicznie, a teraz zapragnęła ponad wszystko, by ta chwila trwała wiecznie, tu i teraz, na zawsze przy nim i z nim. Czuła w sobie taki spokój i taką słodycz, jakby rosły jej skrzydła. Mocniej się do niego przytuliła i jeszcze mocniej objęła go rękami za szyję.

Pachniał tytoniem i wodą kolońską. Oparła głowę do jego piersi i wsłuchiwała się w głębokie, mocne, bicie serca.

– Przepraszam, przepraszam – szeptała mu do ucha.

Jego ramiona zacisnęły się jeszcze mocniej, co sprawiało jej ból pełen słodyczy. Westchnął głęboko i rozluźnił uścisk. Odsunął się trochę, aby popatrzeć na nią.

Odwzajemniła jego badawcze spojrzenie, patrząc mu prosto w oczy, z sercem łopoczącym w piersi.

Russell powędrował wzrokiem do jej szczupłych dłoni, wciśniętych w jego miękką, ciepłą koszulę.

– Ręce ci drżą, Tish – wyszeptał, przejęty jej zamglonymi oczami.

– Jest mi... trochę zimno.

– Mnie też. – Pochylił głowę. – Chodź tu do mnie, kochanie.

– Russell... – szepnęła na znak protestu, gdy z wolna muskał jej wargi zdecydowanymi, spokojnymi ustami.

– Z całą pewnością należy mi się urodzinowy pocałunek – mruknął. – Nawet jeżeli, do cholery, jestem niemal tak stary, że mógłbym być twoim ojcem.

– Oczywiście, ale nie jesteś stary, tylko...

Skubnął jej miękką, dolną wargę, otoczył ją ciasno ramionami i zamknął w ich mocnym, bezpiecznym kręgu.

– Tylko co, kochanie? Objęła dłońmi jego głowę.

– Nieważne – szepnęła. – Ach, całuj mnie... !

– O, wspaniale, pogodziliście się! – Słodki głos Nany huknął jak bomba akurat wtedy, kiedy Russell dotknął oczekujących ust Tish.

– Cholera! – zaklął stłumionym głosem i cały się zatrzęsł, uwalniając Tish ze swych objęć.

– Russell – szepnęła z wyrzutem i spojrzała na niego jasnymi, błagalnymi oczami.

– I co, Tish? A nie mówiłam? – Nana rozpromieniła się. Tak bardzo się ucieszyła, widząc tych dwoje znowu razem, że nie zważając na ich nieopadłe jeszcze przecież emocje, jak gdyby nigdy nic zaproponowała: – Wejdźcie do środka, napijemy się kawy.

Kiedy opuszczali dom Nany, między nimi nadal panowało napięcie. Tish wyczuła je wyraźnie, gdy gramoliła się do wielkiego czarnego lincolna, usiadła obok Russella i oparła głowę o oparcie fotela, a on wkładał kasetę do magnetofonu. Samochód wypełniły tak przejmujące tony piosenki „Nie zapomnij mnie”, że niewiele brakowało, a zaczęłaby jęczeć, tak bardzo była niespełniona. Chodziło jej po głowie, że mógłby zatrzymać auto gdzieś na poboczu i dokończyć to, co zaczął, nim Nana im przerwała. Pielęgnowała w sobie tę rozkoszną nadzieję pomieszaną ze strachem, ale wielkie auto mknęło zakurzoną drogą jak pocisk, wznosząc za sobą tumany żółtego pyłu.

Russell kierował się prosto do domu. „Nie zapomnij mnie” leciało może minutę, po czym przełączył na radio i wybrał lokalną stację.

Rytmiczne jak bicie serca uderzenia bębna piosenki Neila Diamonda „Dziewczyna w niebieskich dżinsach” zawładnęły autem. „Może tej nocy – śpiewał Neil Diamond – może tej nocy... ty i ja... ”.

– Cholera – zaklął chrapliwie Russell, szybko zgasił radio i skoncentrował się na prowadzeniu.

Obserwowała go, czując powstrzymywaną furję, której nie umiała zrozumieć. Russell zapalił, zaciągnął się i dmuchnął dymem między nich.

Jeszcze dwie minuty i ostro wyhamował w wykończonym białymi i zielonymi listwami garażu. Zgasił silnik. Wyszedł, pomógł jej wysiąść, zatrzasnął za nią drzwi, po czym oparł się o nie swymi muskularnymi ramionami tak, że znalazła się jak w pułapce między nim a samochodem.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego nie zatrzymaliśmy się na poboczu? – spytał ochrypłym głosem. Podniósł rękę do jej twarzy, ujął jej zaczerwienione policzki w żelazny uścisk i przyglądał jej się rozpalonym wzrokiem. – Dlatego, że ja mam trzydzieści pięć lat, a ty dwadzieścia – powiedział ostro. – Jeżeli tego nie rozumiesz, więcej nie mam zamiaru nic tłumaczyć.

Wycisnął na jej rozchylnych ustach szybki, brutalny pocałunek i poszedł sobie. Została sama, oszołomiona, z ciężkim sercem.

W ciągu kolejnych dni zachowywali się względem siebie bardzo powściągliwie. Dawne dobre czasy poszły w zapomnienie, a wraz z nimi codzienne przekomarzanie się i śmiechy.

Russell uporczywie schodził jej z drogi, a ona równie skwapliwie unikała go. Ich zachowanie nie uszło uwadze reszty rodziny, ale też nikt tego nie komentował. Tish z masochistyczną przyjemnością cieszyła się na wyjazd na uniwersytet. Tam przynajmniej nie będzie musiała codziennie

oglądać Russella. I być może, choć nie była tego pewna, nie będzie tak strasznie cierpieć.

Zdawało się, że Mindy i Baker dopiero co wyjechali, a już wrócili i wszyscy domownicy zostali wprzęgnięci w przygotowania do Bożego Narodzenia. W smutnych oczach Tish pojawiły się iskierki, gdy wraz z Mindy i Eileen debatowały nad prezentami dla Lisy.

– Może kupić siodło dla jej kucyka? – sugerowała Eileen.

– Nie, jej są potrzebne nowe sukienki – oponowała Mindy.

– A może jakieś pluszowe zwierzątko? – zastanawiała się Tish. – A co z guwernantką? Czy powinniśmy jej coś ofiarować, skoro jest tu tylko za dnia?

– Wydaje mi się, że pannie Asher spodobałyby się jakieś chustki – powiedziała Eileen. – Wiem, że jej się podobają takie z koronkami...

– Niezależnie od tego, co twierdzi Russell, uważam, że trzeba urządzić przyjęcie – stwierdziła stanowczo Mindy, drapiąc się po głowie i mierzwiąc przy okazji kręcone blond włosy. – Russell uważa, że hałaśliwe zabawy mogą zakłócić spokój inwentarza, ale nasze stajnie i obory są przecież dostatecznie daleko od domu. W każdym razie Tish należy się pożegnalne przyjęcie. Nawiasem mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak sobie damy radę bez niej.

Tish zaczerwieniła się.

– Świetnie sobie poradzicie.

– Nie wydaje mi się. Sporządź listę, moja droga, i jeszcze w tym tygodniu roześlemy zaproszenia – powiedziała Mindy do Tish. – Została jeszcze choinka do kupienia...

– Beze mnie – rzuciła szybko Eileen. – Nie tym razem. Kupowanie choinki z Russellem i Tish to koszmar. Nie mam zamiaru włóczyć się z nimi w deszczu po szesnastu placykach z choinkami, tam i z powrotem, bo Tish za bardzo kaprysi. Ogląda te choinki i ogląda. Najpierw nie podoba jej się dwadzieścia wspaniałych drzewek, by w końcu wrócić do pierwszego, żeby je kupić. To nie dla mnie.

Tish spięła się.

– Nikogo nie wlokę po szesnastu...

– Do diabła, właśnie, że tak – odezwał się Russell, stając w drzwiach z Bakerem. – Rok w rok. Ale w tym roku będzie inaczej – dodał. – Teraz choinkę wybierze Lisa.

To było gorsze, niż gdyby ją ktoś uderzył. To było tak, jakby z rozmysłem uprzedzał ją, że nie ma już dla niej miejsca w rodzinnej tradycji.

Wstała od stołu i przed wyjściem z kuchni uściskała Bakera.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała do niego z wymuszonym uśmiechem. – I dobrze się czujesz?

– Czuję się świetnie. – Przyjrzał się jej uważnie. – Niestety mam piekielnie nieczułego syna, którego nie obchodzi, że jego humory kogoś ranią. – Rzucił w kierunku Russella twarde spojrzenie.

– Baker, proszę, chodzi o Boże Narodzenie – powiedziała cicho Tish. – Muszę zadzwonić do Nany. Zobaczymy się później.

Wyszła czym prędzej i pobiegła schodami na górę, niewiele co widząc. Z powodu łez.

– Jadę z tatusiem po choinkę! – Rozentuzjasmowana Lisa wpadła do jej pokoju. – Chcesz pojechać... Tish, o co chodzi? – zapytała, widząc jej pociemniałe oczy.

– O co? – Tish przybrała swoją maskę i uśmiechnęła się. – Zupełnie o nic! – Pochyliła się i ucałowała małą buzię. – Skarbie, wybierz ładne drzewko, ale nie ciągnij tatusia po wszystkich placach z choinkami, zanim się zdecydujesz, dobrze?

– Ale ty tak robiłaś? – upewniała się Lisa, przysiadając obok Tish na łóżku przykrytym piękną kapą.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

– No pewnie. Byłam smarkulą. Robiłam tak specjalnie, ponieważ bardzo lubiłam przebywać w jego towarzystwie. – Od drzwi dobiegły ją jakieś dźwięki.

Spojrzała tam i zobaczyła Russella. Stał zasłuchany w jej słowa z wyrazem niezgłębionego napięcia w oczach. Odwróciła głowę. – Lisa, musisz już iść. I pamiętaj, co ci mówiłam.

– Będę pamiętała. Do widzenia, Tish.

– Zaczekaj na mnie na dole, Mario Liso – powiedział cicho Russell, nie spuszczając oczu z Tish.

– Tak, tatusiu.

Wszedł do pokoju z rękami w kieszeniach. Czerwony golf fantastycznie harmonizował z jego śniadą karnacją.

– Nie wiedziałem, że robiłaś tak, ponieważ lubiłaś moje towarzystwo – powiedział cicho. – Ale ostatnio jest inaczej, prawda, Tish? Schodzisz mi z drogi najszybciej, jak tylko możesz.

Studiowała swoje ładne, starannie pomalowane paznokcie.

– Nawet psiak nie będzie się zbliżał do kogoś, od kogo obrywa cięgi – powiedziała ponuro.

Zapadła między nimi długa, nieruchoma cisza.

– Przypomnij mi, żebym ci to wytłumaczył, zanim wyjedziesz – powiedział chropawym głosem.

– To dość proste.

– Nienawiść przeważnie jest prosta.

– Tak uważasz, maleńka? – spytał cicho.

Poczuła się zażenowana. Być teraz w jego pobliżu, widzieć go i słuchać przekraczało możliwości jej starganych nerwów.

– Boże, chciałabym, żeby już było po świętach – wyszeptała znekana.

– Wolałabym już być w kampusie. Wolałabym nigdy tu nie przyjeżdżać! – Wstała i podeszła do okna, odwracając się do niego plecami. – Proszę cię, Russell, odejść – powiedziała opanowanym, lecz nieswoim głosem

Zapadło milczenie. Zawahał się.

– Tish... – powiedział cicho.

– Proszę, idź już! – Głos jej się załamał. – Proszę! Ostatnio robiłeś... wszystko... żeby... mnie ranić! Do diabła z tobą... !

Odetchnął gwałtownie, jakby go ktoś nagle uderzył. Przez kilka sekund tkwił w bezruchu. W końcu usłyszała, jak otworzył drzwi i je zamknął. Zalała się obfitymi, kojącymi łzami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Choinka była śliczna. Wysoka, mocna szkocka sosna o idealnych proporcjach. Russell ustawił ją w salonie, a Lisa pomagała Eileen przy ubieraniu jej. Tish trzymała się na dystans, wytrwale pomagając w kuchni Mattie i Mindy przy pieczeniu ciasteczek.

– Ty wiesz, że on cierpi – powiedziała tajemniczo Mindy, gdy wycinały foremkami kolejne ciasteczka.

– Russell? – Tish przerwała na chwilę z rękami w mące.

– Nie mów mi, że nie widzisz, jak bardzo usuwa się na bok, jak stara się trzymać z dala od ciebie. Dzisiejsze popołudnie to jeszcze jeden wybieg. Boi się, że to zobaczysz.

– Co zobaczę? – zachnęła się Tish. Mindy uśmiechnęła się.

– Przejrzyj na oczy, moja droga, a sama zrozumiesz.

Byłoby niestosownie, żebym akurat ja miała ci to wyjaśniać. No dobrze, kończymy. Musimy jeszcze zająć się dekoracjami na przyjęcie.

Tylko skinęła głową. Pomyślała, że Mindy, jak reszta rodziny, upaja się świątecznym nastrojem. Nawet Baker krążył dookoła niczym rozanielony kot, któremu z pyska sterczą ptasie pióra.

Prezenty otworzyli w Wigilię, zamiast w Boże Narodzenie. Cała rodzina zebrała się w salonie przy mieniącej się od kolorowych bombek choince, kolędy ze stereo wypełniały salon.

Lisa w podnieceniu rozpakowywała swoje prezenty, a Eileen raz po raz robiła jej zdjęcia.

– Tatusiu, patrz! – zawołała Lisa, kiedy otworzyła jedno z bardziej podejrzanych pudełek, z dziurkami po bokach, i wydobyła z niego białego jak śnieg perskiego kotka.

– Tish, dziękuję, dziękuję! – krzyczała radośnie, jedną rączką obejmując ją za szyję, a drugą delikatnie trzymając kotka. – Skąd wiedziałas? – pytała zachwycona.

– Pamiętasz, jak kopałyśmy robaki na przynętę dla ryb? – spytała jak najpoważniej Tish. – No więc jeden z nich mi powiedział.

– Och, wygłupiasz się! – Lisa się roześmiała.

– Jak mu dasz na imię? – zapytała Tish.

– Może Puszek?

– Trzeba przyznać, że to wysoce oryginalne – wtrąciła się Eileen. – Tego rodzaju imię mogłaby wybrać także Tish.

– Uwzględnię cię w moim testamencie – zagroziła jej.

– Zostaw mi swoją kolekcję spreparowanych ludzkich głów – powiedziała błagalnie Eileen. – Marzę o niej od dawna!

Te przekomarzania śmieszyły Bakera i Mindy, tymczasem Russell pozostawał wyciszony i zamknięty w sobie. Tylko na chwilę pojawił się w jego oczach cieplejszy blask, gdy rozpakował prezent, który dała mu Tish, rzadki, stary pistolet skałkowy, by uzupełnił swoją historyczną kolekcję broni palnej. Podziękował jej uprzejmie i skupił uwagę na pistolecie.

Prezent, który dostała od niego, zachowała na koniec. Zdenerwowana rozwinęła bibułki, odłożyła je na bok i znalazła wspaniały czarny opal w srebrnej oprawie. Od dawna marzyła o takim naszyjniku. Wyjęła go, trzymała w palcach i wiedziała, że jeśli założy podarunek, to już nigdy go nie zdejmie. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy uświadomiła sobie, że choć

nigdy ani słowem mu o tym nie wspominała, Russell jednak wiedział, jak bardzo pragnęła mieć taki naszyjnik.

– Dziękuję ci, Russell – wyszeptała. Rzucił na nią okiem. – Cieszę się, że ci się podoba, mała.

Wkrótce wymknęła się do swojego pokoju, mimo że cała reszta nadal cieszyła się wraz z Lisą jej pierwszym Bożym Narodzeniem w rodzinie. Zamknęła za sobą drzwi i przycisnęła opal do ust. Z respektem przyłożyła naszyjnik do szyi i stojąc przed lustrem, obserwowała, jak odbijają się w nim opalizujące światła klejnotu. Potem długo jeszcze nie mogła usnąć.

Przyjęcie wydano w przeddzień Nowego Roku, ale dla Tish nie było ono radosne. Następnego dnia miała wyjechać na uczelnię, a wiedziała, że akademiki będą wyludnione. Może tylko Lillian, jej przyjaciółka, przyjedzie równie wcześnie. Starła się nie myśleć o tym. Wygładziła na szczupłej sylwetce długą, białą suknię i dołączyła do gości tłumnie zgromadzonych w salonie.

Ze stereo dobiegała głośna muzyka, lód pobrząkiwał wesoło w kryształowych pucharach. Była Nana, Belle Tyler, oczywiście też Frank, co się Russellowi mocno nie podobało i wcale tego nie ukrywał, ostentacyjnie go ignorując.

Tish westchnęła do szklanki ze słabym drinkiem, składającym się głównie z wody i lodu. Stojąc samotnie przy ścianie, obserwowała gości. Między nią a Russellem panowało takie napięcie, że przebywanie w tym samym pomieszczeniu co on wiązało się dla niej w wielkim wysiłkiem. Choć tego wieczoru prawie nie spuszczał z niej oczu. Nawet gdy była w drugim końcu salonu, zawsze napotykała jego spokojny, uwodzicielski wzrok.

Wolałyby być z Mattie w kuchni albo opatulona płaszczem siedzieć samotnie na ganku, patrzeć w niebo i wsłuchiwać się w szum wiatru. Wolałyby być wszędzie, byle nie tutaj, gdzie musiała oglądać Belle Tyler wczepioną w ramię Russella, jakby to była jedyna bezpieczna przystań pośród morza ludzi.

Hałas i zamieszanie narastały z każdą minutą, co w połączeniu z nieznośnym widokiem Belle tak jej w końcu zaczęło dokuczać, że zaczęła się przeciskać w stronę drzwi, żeby uciec.

Zanim przeszła pod łukiem drzwi wejściowych, wpadła na coś dużego, ciepłego i mocnego, i ujrzała, że to Russell stanął między nią a wolnością.

– Uciekasz? – zapytał z nieznacznym uśmiechem. – Zaraz zaczną strzelać petardami, za... – spojrzał na czarny zegarek, zagnieżdżony w gęstych włosach nadgarstka – ... jakieś czterdzieści sekund.

– Ja... no właśnie, ten hałas – wykrztusiła. – Miałam już tego dość.

– Hałasu, Tish? – spytał znacząco. – Czy widoku uwieszzonej na mnie siostry Tylera?

Z jej oczu strzelił szary płomień.

– Jeżeli myślisz, że jestem o ciebie zazdrosna...

Nim jednak zdołała zakończyć swoją tyradę, z salonu dobiegły charakterystyczne dźwięki starej szkockiej pieśni „Alud Lang Syne”, która w krajach anglojęzycznych śpiewana jest chóralnie w noc sylwestrową. I wszystko znikło... z wyjątkiem ciemnej twarzy Russella i jego oczu. Chwycił jej wiotką kibić i szarpnął do siebie.

– Stój spokojnie, Tish – powiedział, kiedy próbowała się wyrwać. – Mam godzinę duchów, a ty pomożesz mi pozbyć się tej blondynki. Mam zamiar cię pocałować, panno Peacock – wyszeptał, przyciągając ją jeszcze

bliżej. Jego ciepły oddech, pachnący whiskey, czuła na czole i na oczach, gdy on przyglądał się jej odurzonej, zaróżowionej twarzy. – Mam zamiar smakować te miękkie usta, aż cała zaczniesz drżeć w obliczu Boga, Belle Tyler i całej reszty.

– Och, Russell, nie możesz – wyszeptała drżącym głosem. Od słów, które wypowiedział, robiło jej się słabo, oddech świstał w krtani.

– Dlaczego nie, kochanie... – Zanurzył dłoń w jej rozpuszczonych włosach, przyciskając głowę do szerokiej piersi. – Już się tak całowaliśmy, pamiętasz? Tego wieczoru, kiedy wróciłem z Jacksonville, oboje spalaliśmy się żywcem, aż wparowała Eileen...

– Oni... oni się gapią – szepnęła, czerwieniąc się. Jej szczupłe ciało, całkowicie w niego wtulone, raz po raz przenikała fala niezwykłych doznań.

– Niech się gapią. – Głos miał głęboki, powolny i chrapliwy z emocji.
– Całuj mnie, Tish... wejdź w ogień i zobacz, jak pali.

Otoczył jej usta swoimi. Silne ramiona przyciągnęły ją do dużego, ciepłego ciała, i poddała się płomieniom, które paliły, paliły i paliły...

Zaczerpnął tchu. Spojrzenie miał dziwne, niezgłębione, pociemniałe od niepozostawiającego żadnych wątpliwości pragnienia.

– Idziemy.

– Gdzie... idziemy? – szeptała, gdy wziął ją pod ramię i wyprowadzał z pokoju do holu.

Nie zawracał sobie głowy tłumaczeniem. Otworzył kluczem drzwi do swojego pokoju, wprowadził ją do środka i nawet się nie zatrzymując, żeby zapalić górne światło, zamknął za nimi drzwi na klucz.

– Co... oni sobie pomyślą, jeśli my w ten sposób... – wykrztusiła niepewnie.

Uniósł Tish i zaniósł na miękki, biały, włochaty dywan leżący przed kominkiem. Położył ją na nim delikatnie, niemal nabożnie, i wyciągnął się obok, wcześniej szybko zrzucając marynarkę, krawat i odpinając górne guziki koszuli.

– Nic do mnie nie mów, Lutecio – powiedział ściśniętym, mrocznym szeptem.

– Co... co ty... – protestowała słabo, bezskutecznie odpychając rękami jego szeroką, twardą pierś.

– Przyniosłem cię tutaj, żeby się z tobą pożegnać.

– Wszystkie rysy jego twarzy wyrażały pogardę dla samego siebie. – Chcę odczuć ustami smak twoich ust, miękkość słodkiego, młodego ciała przy moim. Przez kilka minut, zanim odejdiesz z mojego życia. Mój Boże, nie widzisz tego, co się ze mną dzieje... co się działo przez cały rok? Czy ty nie wiesz, że byłem gotów zawiązać sobie ręce na plecach, żeby trzymać je z dala od ciebie? – Wciągnął chrapliwie powietrze.

– Tej nocy nie dbam o to. Chcę tych kilku minut z tobą... tylko kilka minut z życia twojego i mojego, żeby się pożegnać w sposób o wiele bardziej satysfakcjonujący, niż słowami... pozwól, że ci to pokażę, mała – szeptał, dotykając ustami jej ust.

Jej ręce drżały przy jego piersi, gdy całował ją powoli, delikatnie, a jego usta bawiły się w milczeniu jej ustami. Serce Tish waliło, bolało wobec cudu odczuwania na sobie tego ciężaru, z radości bycia tak blisko, bycia kochaną przez te twarde, wprawne usta...

– Tutaj – wyszeptał, kierując jej ręce do guzików koszuli. – Rozepnij.

Posłuchała go z wahaniem, jej palce szarpały się w ciszy z upartymi guzikami, w końcu odpięła kilka i poczuła włosy pokrywające jego ciepłe, gładkie mięśnie.

Patrzyła na niego cała wylękniona i dotykała go, czując pod opuszkami palców zmysłową męskość. Jego ciemne oczy szukały jej wzroku.

– Pierwszy raz, Tish? – zapytał pieszczotliwym głosem, gdy po wyrazie jej oczu zrozumiał, że wszystko, co się teraz działo, było dla niej nowością.

Serce biło jej tak mocno, że zaniemówiła i udało jej się tylko skinąć głową.

Jego wargi dotykały jej czoła, powiek, nosa, policzków tak miękko i słodko ją smakując, że całe jej ciało ogarnęło przyjemne napięcie. Wcześniej żaden mężczyzna nie był wobec niej tak niezwykle delikatny.

– Ostatni raz kochałem się w ten sposób, kiedy miałem szesnaście lat – wyszeptał z ustami zanurzonymi w jej włosach.

– Ale... czy to znaczy, że nie zawsze... – Próbowała dość mgliście sformułować pytanie.

Zachichotał lekko.

– Gdybyś była inną kobietą, już bym cię do połowy rozebrał – stwierdził rzeczowo.

– Russellu Currie! – Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Spokojnie – szepnął, a rozbawienie nadało jego głosowi jedwabiste brzmienie. – Po prostu wyluzuj. My się tak daleko nie posuniemy. Na to nie mogę sobie pozwolić. Kilka pocałunków, moja mała świętoszko, to wszystko, czego chcę. Gdybym posunął się dalej, to twoje wakacje tutaj byłyby nie do zniesienia, o czym doskonale wiesz.

– Nie do zniesienia?

Ujął ją za głowę i trzymał tak, gdy jego usta badały jej usta w długim, powolnym pocałunku, który zdawał się nie mieć kresu.

Była w tym taka tkliwość, że gdy w końcu otworzyła oczy i spojrzała na niego, były pełne łez.

– Russ – szepnęła łamiącym się głosem, owładnięta niepokojem, że go zostawia, że go kocha. – Och, Russ, tak bardzo cię kocham, tak bardzo! Ja...

Położył na jej ustach długi, twardy palec, a jego oczy zaiskrzyły się, jakby rozbłysła w nich brązowa błyskawica.

– Nie mów tego – powiedział z mocą. – Nie w ten sposób!

– Ale ja cię kocham, ja... – szeptała rozgorączkowana.

Odsunął się od niej i wstał, zapalił papierosa

I długo wpatrywał się w jej rozognione oczy.

– Wiem – powiedział w końcu. – Wiem od dawna. To dlatego tak się na ciebie wściekałem, mała dziewczynko. Powiedziałem ci wcześniej, że w tym nie ma przyszłości, i nie żartowałem.

Wpatrywała się w miękki, włochaty dywan, wsuwała palce w jego pasma i chwytiała je kurczowo, czując nagle, że traci całą swoją dumę.

– Nie miałam pojęcia, że Lisa jest dziewczynką. Wtedy skłamałam, ale jeśli z tego powodu...

– Dobry Boże, wiedziałem o tym! – wybuchnął. – Zrozumiałem to w chwili, kiedy ją zobaczyłaś. Żadnymi słowami, niczym nie byłabyś w stanie zaprzeczyć temu, co mówiły twoje oczy. Nie, Tish, to nie Lisa. W każdym razie nie bezpośrednio. – Wędrował po niej oczami, gdy tak leżała na

puszystym dywanie, ale odwrócił wzrok z tłumionym przekleństwem. –
Bądź tak uprzejma, na miłość boską, i usiądź – warknął.

Jego ostry głos smagnął ją niczym uderzenie bata. Jej stargane nerwy nie wytrzymały, wzdrygnęła się i natychmiast usiadła.

– Przepraszam – wyszeptała. – Ja... wydaje mi się, że musiałam za dużo wypić. Ja nie chciałam...

– Dzieli nas piętnaście lat, do diabła – powiedział surowo. Oczy miał zwięzione do szparek, spojrzenie gorące i bolesne, chociaż nie mogła tego widzieć, ponieważ sama spuściła wzrok. – Piętnaście lat, Tish. Cała generacja. Do niedawna byłaś jeszcze dzieckiem, z którego wyrosłaś dopiero co, ponieważ nauczyłem cię odczuwać. Ale tobie nie takiej miłości potrzeba od mężczyzny. To nawet nie jest miłość, Tish, to tylko...

– Przestań. – Czowała się zażenowana i upokorzona. Wzruszył ramionami.

– Dobrze – westchnął. – Zaczynasz rozumieć, zgadza się? Jesteś dla mnie i za młoda, i za mało doświadczona, moja maleńka. Nic by z tego nie wyszło. Ty po prostu... tylko mnie chcesz.

Wstała.

– Przepraszam, że postawiłam cię w trudnym położeniu – powiedziała spokojnie, z taką godnością, na jaką było ją stać, ale w jej głosie słychać było cierpienie. – To się już nigdy nie powtórzy.

Z oczami pełnymi łez skierowała się ku drzwiom, wiedząc, że jeśli nawet o wszystkim zdołałaby zapomnieć, to i tak nigdy nie dojdzie do siebie po tych kilku chwilach w mocnych ramionach Russella, kiedy to jej wiek zdawał się nie mieć dla niego żadnego znaczenia...

– Tish... – Głos miał bardzo napięty.

– W porządku. – Udało jej się zachować spokój. – Tak jak powiedziałeś, to było po prostu... czysto zmysłowe... fizyczne. Dobranoc, Russell.

– Na Boga! Tish! – zawołał za nią.

Lecz już była za drzwiami, już biegła. Zatrzymała się dopiero na szczycie schodów.

Życie w akademiku toczyło się zwykłym, chaotycznym trybem, a Tish, szukając ucieczki przed sobą i wspomnieniami, wykrzesła z siebie nieco powierzchownego zapału i poddała się codziennej rutynie. I jeśli miała udręczone spojrzenie, a jej mizerny wygląd zdradzał nieprzespane noce, przyjaciele kładli to na karb ciężkiej pracy.

Lillian ciekawa była wszystkiego, co zdołała wydobyć na temat Franka, wszystkiego o farmie i wszystkiego na temat wakacji, więc Tish z cichym entuzjazmem odpowiadała na pytania swojej drobnej, niebieskookiej koleżanki, z którą dzieliła pokój.

Lillian miała nowego chłopaka, który grał w kapeli na dudach i pracował w restauracji poza kampusem. Lillian spotykała się z nim wieczorami, a kiedy wychodziła, Tish zostawała, żeby się uczyć, jednak czuła się przez to jeszcze bardziej osamotniona. Nawet przyjazne żarty innych dziewcząt i niekończące się wygłupy, którym z upodobaniem oddawali się niemal wszyscy studenci, nie mogły ukoić jej zranionych uczuć.

Ciągle pamiętała, jak Russell wyglądał tego ranka, kiedy wyjeżdżała. Ciemnooki, spokojny, trochę zły. Nie popatrzyła mu w oczy. To było niemożliwe. Wypowiedziała jakieś konwencjonalne słowa pożegnania,

uścisnęła Lisę, nie zwracając uwagi na jej łzy, po czym odjechała na lotnisko oszołomiona cierpieniem i bólem.

Zdawało się, że Baker, Mindy i Eileen wyczuwali, że między nią a Russellem zaszło coś bardzo niedobrego, ale byli na tyle mili dla niej, że nie ciągnęli za język.

Choć usychała z tęsknoty i pragnienia, które ją obezwładniały i nie dawały ani dnia spokoju, tygodnie mijały szybko. Mindy pisała do niej, ale w swoich listach dziwnie podejrzanie nie wspominała o Russellu. Jednak i Tish, gdy jej odpowiadała, także o nim nie wspominała. Ani słowem nie zająknęła się, że życie bez niego było jak ocieranie się o śmierć, chociaż tak właśnie się czuła. Gdyby tylko umiała zapomnieć!

– Ktoś jest na dole – przerwała jej rozmyślania Lillian.

– Kto? – spytała Tish, unosząc głowę znad książki do prac z angielskiego.

– Mężczyzna – odpowiedziała podekscytowana Lillian. – Ale jaki mężczyzna! Tish, ty masz przede mną tajemnice! Gdybym wiedziała, że Frank Tyler tak fantastycznie wygląda, pojechałabym z tobą nad morze!

Frank? Tutaj? Tish westchnęła zrezygnowana. Zamknęła książkę, ściągnęła sukienkę, włożyła spodnie i biały sweter. Przeczesała długie włosy i bez makijażu zeszła na dół. Nie miała pojęcia, dlaczego Frank miałby jechać taki kawał, chyba że był w mieście w interesach i po prostu wpadł do niej, żeby...

Zdumiona zaczerpnęła tchu tak gwałtownie, że musiał usłyszeć jej oddech. Stał u dołu schodów, a poza nim w pokoju dziennym nie było nikogo. Jednak ten odwrócony plecami mężczyzna nie mógł być Frankiem. Za wysoki, barki za szerokie, włosy zbyt czarne.

Odwrócił się i popatrzył na nią takim wzrokiem, że z najwyższym trudem wytrzymała spojrzenie tych oczu, tak brązowych, ciemnych i dziwnych, że serce zaczęło jej bić tak gwałtownie i tak szybko, jakby zrywało się do ucieczki.

Była wstrząśnięta, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, jakoś jednak udało jej się zmusić je do postąpienia kilku kroków w jego stronę, po czym przystanąła w bezpiecznej odległości.

– Witaj, Russell – powiedziała ściśniętym, ale uprzejmym głosem. – Jak miło cię widzieć.

Przyjrzał się jej wymizerowanej twarzy i po chwili zaczął mrużyć oczy. Wyglądał starzej i jakoś inaczej. Jakby był bardzo samotny...

– Lisa tęskni za tobą – powiedział cicho.

– Ja też za nią tęsknię. – Nerwowo przełknęła. – Może zechcesz usiąść...

– O Boże, Tish – wyszeptał ochryple. – Chodź tutaj! – Schwycił ją brutalnie w ramiona, aż uderzyła się o jego twarde tors, i gwałtownie pochylił do niej głowę. – Tish...

Zagarnął jej usta swoimi ustami, mocno i boleśnie. Okrutnymi ramionami pokonał jej słaby opór. Domagał się jej, pochłaniał ją w każdym pocałunku z takim pożądaniem, że cały dygotał, a potężne uderzenia jego serca udzieliły się także jej. Tak silne emocje na nią przenosił, że z jej ust wydobyło się łkanie, ale wówczas jego płomienne pocałunki zmieniły się nagle. Stały się pytające, tak czułe, tak badawcze i tak szukające odpowiedzi, że uległa im z rozkosznym drżeniem, pozwalając, by jej usta zdradziły ją i wyznały mu z oddaniem, jak samotne to były tygodnie, jak puste.

Wstrzymał oddech, oczy miał ciemne i zmysłowe, włosy zmierzwione przez jej palce, usta mocne i twarde, gdy zastygały na jej ustach.

– Twoje wargi mówią mi rzeczy, których sama nigdy byś mi nie powiedziała – odezwał się chropawym głosem. – Tęskniłaś za mną?

Skinęła głową, wstrząśnięta do głębi tym, co się wydarzyło.

– Mała dziewczynko, wydaje ci się, że nie wiem, jakim przeklętym, upartym osłem byłem? – zapytał cicho. – Czy ty wiesz, ile nocy przeleżałem bez snu, rozpamiętując, jak to jest czuć ciebie w swoich ramionach, wspominając smak łez na twoich ustach, kiedy je całowałem... ? Mój Boże, Tish, czy ty wiesz, że zaraz po tym, jak pozwoliłem ci wyjść z mojego pokoju, moje życie stało się jednym wielkim koszmarem? Nie miałem pojęcia, jak pusty może być świat, jak bezbarwny, dopóki nie spróbowałem żyć w nim bez ciebie. – Mówił głosem tak pełnym przejęcia, że kręciło jej się w głowie.

– Ale ty...

– Pamiętasz tamten wieczór w kuchni – wyszeptał – kiedy zacząłem prowadzić cię schodami w górę? Czy wiesz, co zamierzałem zrobić?

Zaczerwieniła się.

– Mówiłeś, że nie to, co sobie pomyślałam.

Wyjął energicznie z kieszeni marynarki niewielkie pudełeczko.

– Trzymałem to w mojej komodzie – powiedział poważnie. – Ten drobiazg kupiłem w Nowym Jorku zeszłego lata, podczas podróży w interesach, zaraz po incydencie w domku plażowym... Miałem zamiar ci to ofiarować, ale uciekłaś. Otwórz.

Otworzyła pudełeczko i zobaczyła wspaniały rubin otoczony małymi diamentami. Pierścionek zaręczynowy! Napotkała spojrzenie Russella i wszystko, co czuła, było w jej oczach.

– Tish, cholernie cię kocham. – Musnął ustami jej usta. – Walczyłem z tym od chwili, gdy wtedy, w domku na plaży wziąłem cię w ramiona i poczułem, jak bardzo drżały ci usta. Ale już dość, już z tym nie walczę. Pobierzemy się i będę się martwił tymi piętnastoma latami różnicy tylko w wolnych chwilach...

– W wolnych chwilach? – wyszeptała z ustami przy jego ustach.

– Między naszym pierwszym synem, a potem córką... – wyszeptał. – Pakuj swoje walizki. Na lotnisku czeka na nas cessa.

– Niczego nie muszę pakować – powiedziała. Miłość ożywiła jej oczy, a opuszkami palców dotykała raju. – Cały mój świat jest tutaj.